

# TYGODNIK LITERACKI

Nr 9 ■ Rok I ■ 18 LISTOPADA 1990

ISSN 0867-1257 ■ Nr indeksu 379689 ■ Cena 2500 zł

w numerze: HOŁOBOROD'KO □ MIŁOSZ □ RIABCZUK □ SZEWCZUK  
oraz: BALTYN, CISŁO, KNITTEL, MICHALSKI, RUTKOWSKI, TOMCZYK, WALC, WIDRYŻKA



## Dom na wzgórzu

rozmowa z Walerijem Szewczukiem

Tygodnik Literacki – Proszę wybaczyć, że zadam Panu pytanie tradycyjne i być może banalne. Jak Pan pojmuje rolę pisarza?

Walerij Szewczuk – Należę chyba do tego rzadkiego w ukraińskiej literaturze typu pisarzy, dla których sprawą najważniejszą jest estetyczny, artystyczny poziom dzieła. Bardzo łatwo dzisiaj zbroczyć na politykę, poddać się potokowi bierzących wydarzeń. To wszystko jest oczywiście bardzo potrzebne i są ludzie, którzy się tym zajmują i robią to dobrze, ale moje zadanie jest nieco inne. Sztuka i polityka, pomimo iż często się przeplatają, są względem siebie antagonistyczne. Tam gdzie do sztuki miesza się polityka, tam jest początek końca sztuki... Prawdziwa sztuka musi mieć zatem do polityki pewien dystans, nie może jej dopuszczać zbyt blisko. To samo dotyczy religii. Jeżeli religia pozostaje sprawą sumienia człowieka to święta sprawa, ale gdy jest ona oficjalnym nakazem to już bardzo niedobrze.

W swojej twórczości staram się kierować maksymą wielkiego ukraińskiego fi-

lozofa Skovorody: „mierz najwyżej a osiągniesz środek”. Tak oto staram się mierzyć wysoko, a jeśli osiągnę środek, będę bardzo szczęśliwy.

A jak Pan ocenia dzisiejszą sytuację literatury ukraińskiej?

– Nasza kultura, pomimo iż liczy sobie ponad tysiąc lat jest bardzo zaniedbana. Oczywiście dotyczy to również literatury. Dopiero teraz możemy publikować tych wszystkich zapomnianych, przeklętych ukraińskich pisarzy, których liczyć można na setki poczynając od czasów najdawniejszych a kończąc na dniu dzisiejszym. Obecnie naszym najważniejszym zadaniem jest zburzenie kamiennego muru między diasporą i kulturą jaka tam się tworzyła a kulturą na Ukrainie. Oczywiście, chcielibyśmy również wpisać się w kontekst ogólnoeuropejski. Mamy świetną szkołę przekładu, tłumaczy wysokiej klasy. Jednak wszystkie nasze plany spotykają bardzo istotną przeszkodę – brak papieru. W tym roku obcięto nam limit do trzydziestu procent, a w następnym szykują się kolejne ograniczenia. Jesteśmy więc w dosyć trudnej sytuacji, a mimo to udało nam się wydać ostatnio kilka nadzwyczaj ciekawych książek przede wszystkim są to pozycje autorów „przywróconych literaturze”.

W Pana książkach znać bardzo wyraźnie zainteresowania historią. Czy często sięga Pan po dokumenty historyczne pisząc swe powieści?

– Z zawodu jestem historykiem, archiwistą. Ukończyłem historyczno-filozoficzny fakultet na Uniwersytecie Kijowskim i posiadam dość rzadką obecnie umiejętność czytania starych manuskryptów, gdyż studiowałem leksykografię. W ogóle uważam, że jeśli już ktoś zajmuje się literaturą, to powinien poznać przede wszystkim swoją rodzimą literaturę od korzeni, w pełnym wymiarze, przynajmniej minimum najlepszych jej osiągnięć. A z drugiej strony sędzę, że nie można oderwać się od literatury światowej. Jestem dosyć zawziętym, może nawet chorym bibliofilem, przez co każda zdobyta

dokończenie na s. 5

### Wasył Hołoborod'ko

#### Sam za drzewem

Zza drzewa dostrzegam, że ja to już nie ja, lecz deszcz za drzewem.

Teraz moje owce pasą się beze mnie.

A ja stoję za drzewem i myślę, co mam zrobić, żeby ludzie teraz wiedzieli o moim istnieniu, skoro jestem deszczem?

Bo deszcz tylko wtedy jest deszczem, kiedy w długie włosy wplata słoneczniki, tylko wtedy ludzie wiedzą, że pada deszcz.

A co ja mam zrobić, skoro stoję za drzewem, jak mam teraz okazywać ludziom swoją ludzką istotę, choć istotę deszczu umiem już okazywać długimi włosami?

Czyżbym teraz nie był już sobą, skoro jestem deszczem?

z ukraińskiego przełożył Wiktor Woroszyłski

# twarz tygodnia

była zaczerwieniona. W końcu tygodnia przypadał najważniejszy dla „czerwonych” dzień. Z drugiej strony była zaróżowiona z emocji, gdyż można było oglądać się transit gloria mundi. W listopadzie bowiem (niebezpieczna pora) przypada rocznica Rewolucji Październikowej. Tam nawet październik jest w listopadzie – i tak ze wszystkim. A do tego jeszcze sprawa „Aurory”. Już w latach siedemdziesiątych dowiedziałem się, że nabój, którym oddano historyczny strzał był ślepy. A teraz dowiaduję się, że znany ten krążownik zaczął w latach siedemdziesiątych tak przeciekać, iż żadne remonty nie mogły go utrzymać na powierzchni. Sporządzono więc w tajemnicy atrapę, zaś sam zbytek zatopiono gdzieś na torze wodnym do Leningradu. Od 1917 roku do dnia dzisiejszego okręt ten wykazywał niezłomną wolę bycia symbolem.

A w Moskwie przed mauzoleum tego, który stał się patronem miasta będącego ostatnim portem w/w jednostki odbyła się defilada. Mauzoleum jeszcze stoi opoką czerwonego kamienia, choć przeciw niejeden pomnik już znikł. W bruk Placu Czerwonego tłukły buty niepokonanych. Rozpoznałem nawet panterki i marynarskie koszulki spęcznawo, który tak sprawnie saperkami przywracał chwilowo zerwaną więź władzy z masami. W loskocie gąsienic rozpoznałem te dywizje pancerne, w cieniu których przyszło mi żyć ostatnich lat czterdzięci i parę. Kiedy zaś ujrzałem ruchome wyrzutnie raketowe przypomniał mi się taki oto wierszyk Witkacego:

Rozczyn dzieł Marxa wiany w bydłat  
Wytwarza z mózgiem przedziwną  
W sikawki wtlacza to wszystko drań  
By pod ciśnieniem w świat puścić przez rurę.

To właśnie owe rury jechały wskroś Krasnoj Płoszczadi. Ja zaś zdobywałem coraz to bardziej dojmującą pewność, że to już ostatnia defilada. Widząc Prezydenta Gorbaczowa chciałem krzyknąć: Patrzcie młodzi, to ostatni co tak defilady wodzi! Nawet nie zauważyłem, że do niego strzelano. Tego, który użył obrzynka z dubeltówki, po wylegitymowaniu (miał kartę łowiecką z Leningradu) zatrzymano. W tle był całkowicie pozabawiony towaru Głównej Uniwersmag z wielkim propagandowym plakatem. Kiedy w sklepach półki są puste zawsze można wyprzedawać ideologię.

Jedno mnie zdumiało i zastanowiło. Telewizja Polska podawała to wszystko jako ósmy ewentualnie dziesiąty news dnia. Kiedyś trąbiono by o tym od rana do wieczora – teraz to informacyjne peryferia. Przed owym wydarzeniem wysunęła się nawet sprawa mandatów. Otóż wreszcie nastąpiła podwyżka. Do tej pory maksymalny mandat wynosił 3 tysiące złotych. Sam będąc zatrzymanym przez funkcjonariusza za przekroczenie szybkości, próbowałem go skorumpować oferując mu papiery wartościowe. Zapropnowałem mianowicie sześć biletów autobusowych (przed podwyżką). Bardzo się ów funkcjonariusz zdenerwował. Teraz jego praca będzie mniej nerwowa. Będziemy płacić od dziesięciu do dwustu tysięcy. Kochajmy naszą policję, chociaż przecież nie pieniędzmi mierzy się uczucia.

FIZJONOMISTA

Tegoroczne nagrody literackie Fundacji im. Kościelskich w Genewie w wysokości 3.000 franków szwajcarskich każda przyznano: Grzegorzowi Musiałowi za całokształt twórczości poetyckiej, powieściowej, esejistycznej, Bronisławowi Wildsteinowi za powieść *Jak woda* (Oficyna Literacka, Kraków 1989) i Markowi Zaleskiemu za zbiór szkiców literackich *Mądrym biada* (Libella, Paryż 1990). No i co?

■ Nagrodę im. Zygmunta Kallenbacha za dzieło literatury polskiej żyjącego autora, które ukazało się po raz pierwszy w kraju lub zagranicą przyznano Wisławie Szymborskiej za tom *Ludzie na moście* (Czytelnik, Warszawa 1988). ■ Wręczono także tegoroczne nagrody im. Kazimierza Illakowiczówny przyznawane od 1983 roku za najlepszy książkowy debiut poetycki. Dwie równorzędne nagrody otrzymali: Kazimierz Biculiewicz za tom *Ognisty żółw bengalski* i Józef Kurylak za *Ziemskie prochy*. Wręczenie nagród rozpoczęło XIII Międzynarodowy Listopad Poetycki w Poznaniu. ■ 9 XI w warszawskim Klubie Książki (Rynek Starego Miasta 22/24) odbyło się spotkanie z Aleksandrą Ziolkowską związane z ukazaniem się książki jej autorstwa *Proces Melchiora Wańkowiaka*. ■ Dobiegła końca edycja dzieł Tadeusza Różewicza przygotowana przez Wydawnictwo Literackie. Nareszcie! ■ W dniach 24–31 X zorganizowano w Walencji (Katalonia) Trzecie Spotkanie Pisarzy Katalońskich, w ramach którego odbyło się sześć konferencji. Jedną z nich została poświęcona literaturze Europy Wschodniej (Polska, Węgry, Rumunia, Jugosławia, Czechosłowacja). ■ Ukazał się zerowy numer tygodnika „Słowo” wydawanego przez Fundację Kultura 90. Dwudziestostronicowe pismo ma połączyć formułę tygodnika kulturalno-społecznego z magazynem informacyjnym. Warto kupować. ■ W salach warszawskiej „Zachęty” eksponowane są dwie wystawy. Pierwsza z nich to czynna do 2 XII kolejna edycja *World Photo Press*. Piękna fotograficzna opowieść o świecie. Druga to *Pozdrowienia dla Polski* czyli obrazy, rzeźby i rysunki Svenda Wiiga Hansena – jednego z najwybitniejszych artystów duńskich. Obie wystawy bardzo ciekawe, choć nie najlepszym chyba pomysłem jest prezentowanie ich tak blisko siebie, ale... Warto zobaczyć. ■ Dużym rozczarowaniem są najnowsze wystawy proponowane przez

# przegląd kulturalny

Centrum Sztuki Współczesnej. *Fotoanarchy* czyli nowa fotografia z Austrii i Węgier to niewiele mówiący zestaw zdjęć. Natomiast instalacja Richarda Wilsona *Na wynos* wzbudza szczerzy śmiech. To przecież niezwykle zobaczyć w galerii 840 papierowych toreb! ■ Teatry pod młotek! Prywatyzacja ma objąć kilka stołecznych teatrów. Na pierwszy ogień idą Dramatyczny i Syrena. ■ Teatr Adekwatny rozpoczął sezon. 11 XI można było zobaczyć spektakl *Cesarz* według prozy Ryszarda Kapuścińskiego przygotowany przez zespół teatralny z Ośrodka Informacji i Kultury Polskiej w Budapeszcie. ■ Pozakonkursowy pokaz *300 mil do nieba* Macieja Dejczera zainaugurował festiwal *Gwiazdy jutra* w Genewie. W jury zasiadał Krzysztof Zanussi. Jak zwykle... ■ Juliusz Machulski rozpoczął realizację zdjęć do filmu *V.I.P.* według własnego scenariusza. Ciekawe, kto zacz ów *very important*? ■ Warto pójść do kina na: *I kto to mówi*, *Zdradzeni* (Debra Winger i Tom Berenger), *Bogowie są szaleni*. Radzimy omijać *Tango i Cash* oraz *Czwartą wojnę*. ■ W Zakopanem w ostatnich dniach października odbył się II Ogólnopolski Konkurs Wykonawczy muzyki Karola Szymanowskiego dla uczniów szkół muzycznych drugiego stopnia. ■ 11 XI w krakowskiej galerii „Krzysztofory” wystąpił z recitale z grafiką komputerową i slajdami kanadyjski oboista Lawrence Cherney wykonujący głównie muzykę współczesną. 13 XI można go było wysłuchać w sali „Laboratorium” Zamku Ujazdowskiego w Warszawie. ■ Tadeusz Kantor przygotowuje nowy spektakl *Dziś są moje urodziny*. Premiera odbędzie się w Centrum Pompidou (Paryż) w styczniu 1991 roku. ■ Od 7. do 16 XI w galerii „Zderzak” w Krakowie wystawia obrazy i rysunki Ryszard

Grzyb, w latach osiemdziesiątych uważany za „dzikiego z dzikich”. Z jego uprzedniej „dzikości” w ostanich pracach pozostały ekspresyjne kolory. ■ *Co arystokracie po małym fiacie?* Ten dramatyczny tytuł nosiła prezentacja filmów video Adama Rzepeckiego, która odbyła się 8 XI również w galerii „Zderzak”. ■ *W intencji pragnień nigdy nie spełnionych* warto wybrać się na wystawę Andrzeja Welmińskiego do krakowskiej Galerii „Krzysztofory”. Ekspozycja czynna od 9 XI do połowy grudnia. Metafizycznie i dowcipnie. ■ Koło Naukowe Polonistów KUL zorganizowało w Lublinie I Tydzień Polonistów, poświęcony w całości kulturze polskiej lat osiemdziesiątych. W programie m.in. spotkanie z Janem Józefem Szczepańskim, Stefanem Kisielewskim. ■ Od 4 do 11 XI trwał na Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie Jesienny Salon Muzyczny. Największym powodzeniem cieszył się koncert duetu fortepianowego z Turynu (Carlo Papini i Laura Brunetta). ■ Również w Szczecinie w Klubie 13 Muz do 13 XI można było oglądać ciekawą wystawę *Syndykat karykatury politycznej* – prezentowano prace Arkadiusza Gasperskiego i Wojciecha Miernowskiego. ■ Bestsellery tego tygodnia: *Dodie Smith 101 Dalmatyńczyków* (Alfa), *Desmond Bagley Cytadela w Andach* (Pegasus), *Henryk Sienkiewicz Trylogia* (PIW), *Larouss – Ziemia, rośliny, zwierzęta, The Giant Picture Dictionary For Boys and Girls* (??????).

M.M.

## napisało się

\*\*\*

Zapachnie chlebem ziemia  
Ludziom oplaci się praca  
Złotówka zakrwawi dolarem  
Bezrobocie

ZBIGNIEW TADEUSZ KOT  
W-wa 27.01.90 r.

z miesięcznika społeczno-kulturalnego  
WŁASNYM GŁOSEM  
lipiec/sierpień 1990, rok I

# artykuł polityczny

## Lewica dzisiaj

Polska jest dziś w potrzebie. Wielokrotnie zdarzało się, że w pojedynku z ekonomicznymi – jak teraz – realiami człowiek zniknął. Ale nie znaczy to, że zniknąc ma Polska. Bo w niej przecież

zawiera się wszystko, o co tak długo i uporczywie walczyły bezimienne dziś masy, których jesteśmy spadkobiercami. Padają nieraz w boju, z wyczerpania, ewentualnie na bruk. Nie zapomnimy o rzeszach towarzyszy i o ich ofercie, ich bezimienne imię (jak mówi Poeta: arka nowego przymierza między dawnymi laty a nowymi) osłaniać będzie swoim autorytetem nasze tak splątane losy. Ale czasy się zmieniły i mówi się trudno. Trudno przemawia się dziś... yhm... w brzemiennej w skutki rzeczywistości. Ale świętość życia nie zezwala nam, bowiem my ucieleśniamy nadzieję, jak jakimś histerycznym youppies, na historyczną aborcję. Marks miał córkę, nie tylko Engelsa,

a córka nosiła – widać to na fotografiach – na piersi krzyżyk. Czarny,

emaliowany, polski, wprost z powstania styczniowego. Winniśmy brać wzór, towarzysze, z córki Marksa. Bowiem koegzystencja krzyża i *Kapitału* nie jest mitem, lecz faktem dokonanym. A czyż

buntować się przeciw wyrokom historii aby przystoi marksistom? O ileż jest lepiej, gdy teraz buntuje się przeciw naszym wyrokom historia... Ten ewenement nie powinien nas, broń Boże rozbrajać ideologicznie. Przed nami ogrom zadań, choć szmat dobrej roboty widać za nami. Gdy się jedzie krajem i wygląda przez okno, wszędzie kościółki stoją. A kiedy to kiedy, pytam, zostały one postawione? Kiedy to taki entuzjazm budowlany panował, że najmniejsza Wólka bazylikę św. Piotra i katedrę Notre-Dame stawiała sobie?

Za Polski Ludowej! Nie roztrwoimy aby tego kapitału! Nie pozwólmy okupować komitetów, które jeszcze ocailiśmy, kolejnym bojówkom KPNowców uchronimy je i zamieśmy na kaplice. To nasze dziejowe postannictwo, nasza

yellow submarine, gdy zbrakło Aurory. Może to nawet będzie joint-venture, a

Glemp nas może czasem na herbatę zaprosi? I ostatni zostaną pierwszymi? Uznajmy też za pewnik, że gdyby nie było kapitalizmu, nie byłoby wcale ani socjalizmu, ani też *Kapitału*. To smutne: kiedy widmo zaczęło krążyć po Europie, jedynie Engels założył nomenklaturową spółkę, pozostali mate-

rializowali je socjaldemokratycznie. Engels pierwszy pojął, że to kapitał, a nie wirujący okrągły stolik jest konieczny, by zaistniało dzieło twórcy naukowego socjalizmu. Bo miał swojego Wilczka i Marks, dlatego kres ideologii ogłosił i narodziny nauki.

Mógł pisać sobie o „wilczych prawach”. Akurat sprawiedliwym nowych władz zarządzeniem nasz Komitet Centralny obejmie nie jakaś biblioteka, ale Powszechna Kasa Oszczędności. Oni wręcz idą naszym tropem: my październikowy entuzjazm 1956 roku miesiącem oszczędzania utrwaliłiśmy w pamięci rodaków. Oszczędzajmy więc się, towarzysze! Inicjatyw przed nami jeszcze sporo. Marks, gdyby żył, założyłby butik.

!! TY MOŻESZ BYĆ NIESIOŁOWSKIM!  
!! W TYM TEKŚCIE ZASZYFROWANO  
!! WYWROTOWE KOMUNISTYCZNE  
!! HASŁO! SPRAWDŹ, CZY NIE MASZ  
!! LEWOSKRĘTNEGO ZEZA!

Tadeusz Komendant

Pewien pisarz rosyjski powiedział kiedyś o romantycznych fantazjach swego rodaka Aleksandra Grina, że są to „przekłady z niewiadomego”. W pewnym sensie, to samo można powiedzieć o literaturze ukraińskiej. Oczywiście, nie w tym sensie, że są to bezcieleśnie „kosmopolityczne” fantazje jak u Grina, ale że jest to literatura prawie nieznanego języka; literatura, która poza Ukrainą jest obecna tylko w kręgach zawodowych slawistów i trochę szerzej wśród emigracyjnych intelektualistów ukraińskich.

Oczywiście, w tej chwili przesadzam, w każdym razie sprawa wygląda trochę inaczej w Polsce. Bo dla Polski, podobnie jak dla Rosji, Ukraina nigdy nie była krajem nie istniejącym czy zupełnie nieznanym jak dla Chińczyków czy Amerykanów. Inna sprawa, że recepcja Ukrainy w Polsce, podobnie jak w Rosji, była bardzo specyficzna - niedawno uświadomili nam to raz jeszcze Stefan Kisielewski z jednej strony, a Aleksander Solżenicyn z drugiej.

Ukraina w pewien sposób jest krajem unikalnym - leżąc w centrum Europy, jednocześnie jakby istnieje i nie istnieje.

Przed rokiem jechaliśmy z kolegą z Kijowa do Warszawy. Naszymi sąsiadkami były dwie śliczne dziewczyny, które wracały z Rostowa nad Donem do Białegostoku. Rozmawialiśmy między sobą po ukraińsku. W pewnym momencie nasze sąsiadki z życzliwym zainteresowaniem zapytały czy rozmawiamy po czesku. Rzeczą przeciw czytawą jest, że jeśli ktoś w Kijowie nie mówi po polsku albo po rosyjsku to niezawodnie mówi po czesku...

Najbardziej zabawne w tym wszystkim jest to, że w Pradze moja niepoprawna czeszczyzna powodowała, że brano mnie za Polaka; w Bratysławie, kiedy mówiłem po słowacku brano mnie, czemuś, za Jugosłowianina

## Mykoła Riabczuk

Mykoła Riabczuk - poeta i krytyk ukraiński młodego pokolenia. Ukończył Instytut Politechniczny we Lwowie. Redaktor ukraińskiego miesięcznika „Waswit”.

polskiego poety: Bohdana Zadury, który pisał: „Slawistyki na całym świecie są mniej więcej takie same. (...) Katedra polonistyki jest zawsze ubogą krewną filologii rosyjskiej i nie ma się czemu dziwić...” A cóż dopiero mówić o katedrach ukrainistyki. Jakimi „krewnymi” filologii rosyjskiej są te katedry, jeżeli w ogóle istnieją?

„Nie ma się czemu dziwić” - to istotnie nie jest zła filozofia. W moich wędrówkach po świecie często ją sobie powtarzałem.

- Where are you from? - pytają cudzoziemcy.

- I'm from Ukraine - odpowiadam.

- Sorry? - mówią grzeczniej.

A ci, którzy nie bawią się w dyplomację pytają wprost:

- Ukraine? What's that? (Co to?)

Wtedy mówię o Kijowie.

- Oh, not far from Chernobyl... - mówią wtedy ze współczuciem.

Kontakt z literaturą ukraińską jest w pewnym sensie kontaktem z literaturą okolic Czornobyla. Oczywiście, nie chodzi tu o literaturę czornobylijską w tym sensie, że traktuje ona tylko o „duchowym Czornobylu”. Czornobylu, który jest rezultatem trzeczsetletniej kolonizacji Ukrainy... i lu-

# Poezja długiej zimy

dagerotypy, pokryte mchem, z matki ladacznicy proponuję przechodniom, a któż z nich wart jest, aby tę smutną chorobę - ojczyznę - przyjąć w piersi, tak przyjąć, aby od tej pory żyć tylko wewnętrznym, żyć chorobą... (...)

W końcu, co tu mówić! Popatrz, gdzie się teraz znajdujemy - zgodzisz się: tylko mężny i pełen honoru naród mógł znaleźć się tutaj.\*

Nie wiem czy istnieje gdzie indziej poezja, która by tak żmudnie szukała w przeszłości dowodów istnienia dla siebie i swego narodu, która by tak uporczywie zajmowała się problemem tożsamości narodowej i przetrwania swego narodu, swego języka i kultury we wrogim dla nich czasie.

Oczywiście w XX wieku poezja ukraińska, podobnie jak polska, przestała już być poezją walki o los swojego narodu; poezją pozytywistyczno-wychowawczą czy budzielską w romantycznym sensie tego słowa. Niemniej pozostała w dalszym ciągu najważniejszym ze sposobów wypowiedziania się w literaturze ukraińskiej. Zresztą nie tylko w literaturze ukraińskiej, właściwie w całym duchowym życiu narodu ukraińskiego. Ten stosunek do poezji jest istotną cechą kultury ukraińskiej, skazanej w ciągu całej swojej historii na funkcjonowanie w niesprzyjających warunkach. Tak bardzo niesprzyjających, że pewna młoda poetka ukraińska, przerażona jej nieskończoną martyrologią, powiedziała: „Historia kultury ukraińskiej to przede wszystkim historia jej niszczenia”.

Oczywiście, w sytuacji kiedy nie istniało dbające o rozwój narodowej kultury niepodległe państwo ukraińskie, a to które istniało niszczyło wszelką kulturę, trudno było myśleć o wybitnej kinematografii, teatrze na poziomie europejskim, czy nawet wielkiej prozie. Chociaż we wszystkich tych dziedzinach były i są wyjątki.

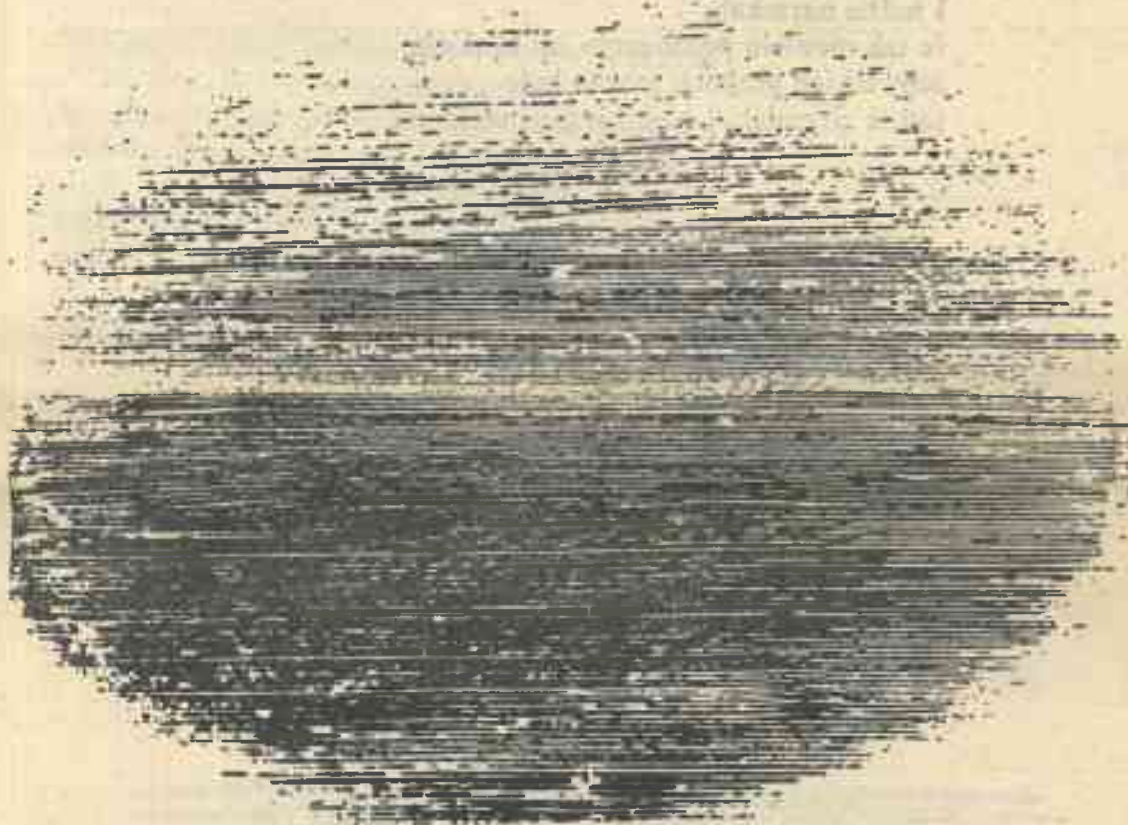
W nadzwyczaj trudnych warunkach, jakie przypadły jej w udziale, kultura ukraińska mogła przetrwać i przetrwała przede wszystkim w pieśni i poezji. Nawet kiedy zabraniano używania języka ukraińskiego trudno, było zakazać śpiewania pieśni, zaś wiersze pisano nawet nie mając nadziei na ich publikację - jak czynił to kiedyś Szewczenko, czy, już w nowszych czasach w sowieckich gulagach - Wasyl Stus oraz inni ukraińscy dysydenci.

Poezja istnieje dopóty dopóki istnieje język. Poezja ukraińska, podobnie jak ukraiński naród, ma poza sobą niezwykle ciężkie doświadczenie, ale gdyby dziś ktoś mnie zapytał czym mogą się pochwalić Ukraińcy przed Bogiem i ludźmi, aby pokazać samoistność swojej kultury, powiedziałbym, że oprócz bogatej kultury ludowej mają jeszcze swoją poezję.

Ale poezja, niestety, jest prawie nieprzetłumaczalna, a kiedy nawet uda się ją przetłumaczyć pozostaje nie przeczytana. Żyję przecież w świecie, w którym osiemdziesiąt procent ludzi czyta tylko kryminały, więc trudno przypuszczać, aby poezja cieszyła się szczególną popularnością. Cenzura ideologiczna zmienia się w cenzurę komercyjną i Bóg tylko jeden wie, która z nich jest dla poezji łaskawsza. Przecież to właśnie w „podziemiu” zrodziły się, jeśli nie największe, to najgłośniejsze dzieła poezji ukraińskiej (podobnie było, jak mi się wydaje, i w poezji polskiej...) Mam na myśli nie tylko Szewczenkę, ale także Wasyla Symonenkę zmarłego w 1963 roku w wieku dwudziestu ośmiu lat, którego *Dzienniki* opublikowane na Zachodzie były prawdziwym wydarzeniem. Podobnie zresztą jak niektóre jego wiersze rozpowszechniane w samwydawie. To samo dotyczy Liny Kostenko, która „milczała” przez osiemnaście lat w Związku Radzieckim, a której poezję wydaje się obecnie w olbrzymich nakładach dochodzących nawet do stu tysięcy egzemplarzy. Wspomniałem już o zamordowanym w łagrach Wasylu Stusie - jego pierwsza książka, która ukazała się na Ukrainie (uprzednio ukazało się parę jego książek w różnych językach na Zachodzie) wyszła w nakładzie czterdziestu ośmiu tysięcy egzemplarzy i jest praktycznie nie do dostania w księgarniach.

Ta popularność, oczywiście, jest pewnym wyjątkiem, następstwem bardzo zdeformowanych, patologicznych warunków społecznych, w których przyszło funkcjonować poezji ukraińskiej. Nie chcę przez to powiedzieć, że

\* fragmenty wierszy ukraińskich w przekładzie filologicznym.



JÓZEF HAŁAS

i tylko w sąsiedniej Białorusi niektórzy ludzie uważali mnie za „swego”, to znaczy za Białorusina, mimo że tam nie mówiłem po białorusku lecz wyłącznie po ukraińsku... Ale kiepską pociechą jest świadomość, że istnieje taki naród w Europie, którego kondycja jest gorsza niż nas - Ukraińców.

Polacy z ich historycznym doświadczeniem państwowego nieistnienia, pólstnienia, ograniczonej suwerenności potrafią sobie w jakiejś mierze wyobrazić sytuację nieobecnego dzisiaj na mapach świata państwa ukraińskiego, a także samopoczucie pisarzy żyjących w takim państwie i tworzących w takim „nie istniejącym”, oczywiście, języku.

Mówię o tym z ufnością ponieważ pamiętam, jak przed piętnastu laty jeden z najwybitniejszych polskich poetów pisał z gorzką ironią:

Profesor Milosz

który pisał wiersze w bliżej nieznanym języku.

Kto ich tam zresztą policzy.

Istotnie - kto policzy setki czy tysiące istniejących dzisiaj na świecie języków, w których pisana jest poezja? Kto przekona przesyconego poezją snoba z Nowego Jorku lub Rzymu, że gdzieś w Południowej Afryce czy w Papui-Nowej Gwinei istnieje paru (być może nawet stu) ciekawych poetów i że są wśród nich nawet poeci pierwszorzędni.

Pamiętam cienką ironię Tadeusza Różewicza („La Pologne, la Pologne...”), pamiętam sarkazm innego

dobójstwa, którego na Ukraińcach dokonali komuniści.

Nie było przypadkiem, że jedną ze swych podziemnych książek Wasyl Stus zatytułował *Wesoły cmentarz*, a jego młody i tragicznie zmarły kolega Hryhorij Czubaj napisał *Placz Jeremiji*, a inna poetka nazwała swoją książkę *Podziemny ogień*, zaś jej dwaj koledzy prawie jednocześnie przygotowali w samwydawie *Zimę we Lwowie* i *Zimę w Tyśmienicy*.

Zima, chłód, pustka, zmierzch, popiół - oto główne motywy ukraińskiej poezji okresu „długiej zimy” lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Poezja ta istniała w rękopisach, czytano ją przy kawie, była znana wąskiemu kręgowi lwowskiej i kijowskiej młodzieży. Dopiero ostatnio zaczęła się ukazywać.

Spółeczne zaangażowanie poezji ukraińskiej owych, jak ich nazwałem, „hermetystów”, ich związek z tradycją narodowo-budzielską jest kwestią szczególną, którą nie będę się tutaj zajmował. Lecz faktem niezaprzeczalnym jest związek wszystkich poetów ukraińskich z tą tradycją. Nawet „awangardystów”, którzy usiłowali ją zwalczać. Ta tradycja to swego rodzaju „karma” poza której sztywne ramy nie mogą się wyrwać nawet najbardziej zacięci młodzi modernisci - chociaż czują, że jest ona jak „smutna choroba”:

Ukraina, nieznana ziemio, szybko, do której przytulam się wiecznie gorącym czołem; korzę się - na papier przenoszę Twoje zbolale imię,

popularność – wyżej wymienionej poezji – jest jedynie konsekwencją jej społecznego zaangażowania. Prawie wszyscy wymienieni przeze mnie poeci są twórcami wybitnymi. Niemniej prawdą jest i to, że ich niewiarygodna popularność jest następstwem nie tylko stworzonych przez nich wartości estetycznych, ale również pewnej postawy społecznej, pewnych wartości etycznych potwierdzonych całym ich życiem.

Całkiem niedawno w Michigan przeczytałem w angielskim roczniku „Cross Currents” świetny esej Adama Zagajewskiego „High wall” („Wysoki mur”), w którym autor pisze:

„Co by się stało, gdyby pewnego dnia – pewnego pięknego dnia – Polska odzyskała swobodę życia politycznego? Czy utrzymałoby się to wspaniałe napięcie duchowe, cechujące z pewnością nie cały naród, ale w każdym razie jego całkiem liczną i demokratyczną elitę? Czy opustoszałyby kościoły? Czy poezja stałaby się – tak jak dzieje się to w krajach szczęśliwych – pokarmem znudzonej garstki znawców a kino jedną z gałęzi skomercjalizowanej rozrywki? Czy to, co udało się w polskiej sytuacji ocalić, uchronić przed powodzią, przed zniszczeniem, a nawet wznieść powyżej zagrożenia jak wysoki i piękny mur, czy to, co powstało jako odpowiedź na

## Poezja długiej zimy

niebezpieczne wyzwanie totalitaryzmu przestałoby istnieć w tym samym dniu, w którym zniknęłoby samo to wyzwanie?

Oczywiście, tak postawione pytanie ma w sobie coś wybitnie przedwczesnego a nawet luksusowego. Zazwyczaj zadają je raczej zazdrośni cudzoziemcy, którzy potrafią dostrzec, pośród ruin życia gospodarczego, cywilizacji materialnej, zalety naszej sytuacji, zdobycze natury czysto duchowej czy obywatelskiej. Nas samych, nas, którzy jesteśmy czynnymi uczestnikami tego eksperymentu, podobne wątpliwości nękać rzadko, jeśli w ogóle. Dla nas bowiem te „zdobycze” są czymś tak naturalnym i potrzebnym, jak aparat tlenowy alpinistom.

W języku polskim ten artykuł ukazał się po raz pierwszy w „Zeszytach Literackich” w roku 1984 – mniej więcej w tym samym czasie jeden z najciekawszych ukraińskich „hermetyków” Ołeh Łyszeha pisał z szyderczą ironią:

Dopóki nie jest za późno – bij głową w lód!  
Dopóki nie jest za ciemno – bij głową w lód!  
Przebijaj się, wybijaj –  
Zobaczysz przepiękny świat!  
Karp – ten na odwrót, zanurzy się w głębinie,  
Umknie na samo dno –  
Bo karp do tego służy,  
Aby kiedyś zostać pojmanym, wcześniej lub później...  
Ty zaś jesteś człowiekiem – Ciebie nikt nie pojmie.

I prawie w tym samym czasie Hryhorij Czubań kończył swój ostatni w życiu poemat „Howoryty, mowczaty, i howoryty znowu” słowami:

w maskujących chałatach niezgrabnie pobiegną po  
stromym zboczcu

potykając się o pnie  
pod wieczór otoczą nas w nadbrzeżnych krzakach  
wikliny

– uśmiechaj się do nas księżycu!  
– uśmiechaj się do nas jak kiedyś!

(...)  
– niechaj i tym razem  
niczego w nas nie upolują

„Wysoki mur”, o którym pisze Zagajewski istnieje we współczesnej poezji ukraińskiej – istnieje ta przestrzeń wewnętrznej wolności, która zapewnia przetrwanie poezji w warunkach totalitarnych.

Nie wiem jak szybko nadejdzie (czy w ogóle nadejdzie) ten „piękny dzień”, o którym mówi Zagajewski – kiedy Ukraina, podobnie jak Polska odzyska swobodę życia politycznego. Ale mam nadzieję, że poezja ukraińska jest zdolna przeciwstawić się nie tylko terrorowi politycznemu, ale także terrorowi „konsumpcyjnemu” poprzez ironię, filozoficzny uśmiech, stoicką postawę mędrca Hryhorija Skoworody, który na dwa stulecia przed Czubańem i Łyszehą powiedział swoje sakramentalne: „Świat mnie łowił lecz nie schwycił”.

Istotnie – cóż innego pozostaje poetom w społeczeństwie, w którym nikt ich nie zabija, nie więzi, nawet nie wypędza z redakcji czy uniwersytetów, ale gdzie poezja „stanie się przedmiotem znudzonych profesjonalistów”, jak mówi Zagajewski i gdzie „kościół są tak puste jak sklepy”

Mykoła Riabczuk

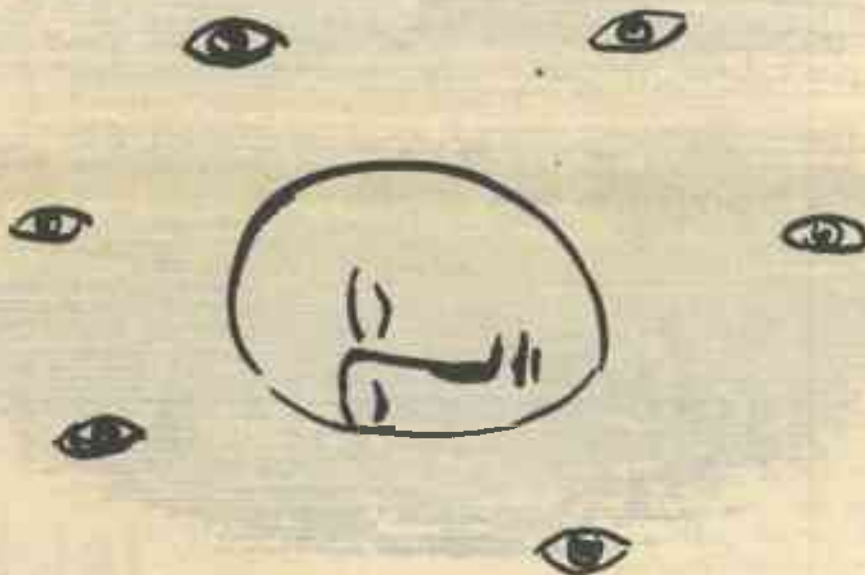
Wasył Hołoborod'ko – poeta ukraiński urodzony w 1948 roku. Autor tomików wierszy: *Lietucze wikonce i Ikar na metelkowych krylach*. W Polsce twórczość jego jest niemal nie znana.

## Wasył Hołoborod'ko

przekład z ukraińskiego  
Wiktor Woroszyński

### Pamięć

I przyszło wreszcie zezwolenie odgórne,  
żeby na grobach  
sadzić ziemniaki i wszelkie inne warzywa.  
Po paru godzinach zagruchotały na bruku  
motyki i wiadra – ludzie pędzili zajmować  
grządki pod ziemniaki i wszelkie inne warzywa,  
ale zbyt się pośpieszyli, bo inni  
mieli bliskich, którzy odpoczywali tu wiecznym snem,  
więc sami wyrównali groby,  
wydarli bzy i łopuchy  
i posiali rzodkiewkę oraz cebulę.  
(Potem zobaczyli, że to się nie oplaca –  
tylko słycać było, jak zajeżdżali motocyklami  
mężczyźni z flachą, bo taką mieli pyszną zakąskę).  
Grządki były równe i gładkie  
(zadbane jak groby).  
I ludzie narzekali,  
że tak niewielu poumieralo ich bliskich;  
żeby na ich grobach można było  
sadzić ziemniaki i wszelkie inne warzywa.



TOMASZ SIKORSKI

★ ★ ★

W krainie Innej był początek –  
wszystko było pierwsze, najpierwsze.  
Wszystko zaczynało się od progu,  
zalesione było i zimowe.

Niczym pierwsze słowo się pisały  
ptasich łapek napisy  
i dla zatamowania pierwszego bólu  
biły białe źródła brzoź.

A potem zjechali się ludzie do Innej,  
obcy zza dziewiątego morza,  
a pierwsi wspominali początek,  
kiedy wszystko tu było pierwsze.

★ ★ ★

ciszej przemówienia przemawiajcie  
i wy ciszej kazania każcie

niech usłyszę jak płacze  
fujarka sześciorgiem oczu

ciszej płacz fujarko  
ciszej żeby aż nie było słycać

nie spłosz tych czarnych ptaszysk  
co usiadły na głowie kobiecej

ciszej ptaki szeleście skrzydłami  
ciszej płaczu kobiety nie spłoszcie

niechaj szemrzą łzy na policzkach  
to ostatnie co chciałbym usłyszec

dla S.T.

## Zasuszeni kozacy

Car Piotr był amatorem różnych kolekcji: po Niemcach jeździł i skupował obrazy i stare księgi. Marzyło mu się zebranie kolekcji, jakiej nie widział świat.

I poprosił hetmana Połubotka o kilku kozaków, żeby zasuszyć ich do kolekcji.  
Hetman: nie, i po raz drugi: nie.

Car Piotr wzywa Połubotka do siebie.

Połubotok aż cztery sotnie kozaków bierze ze sobą i nakazuje im:

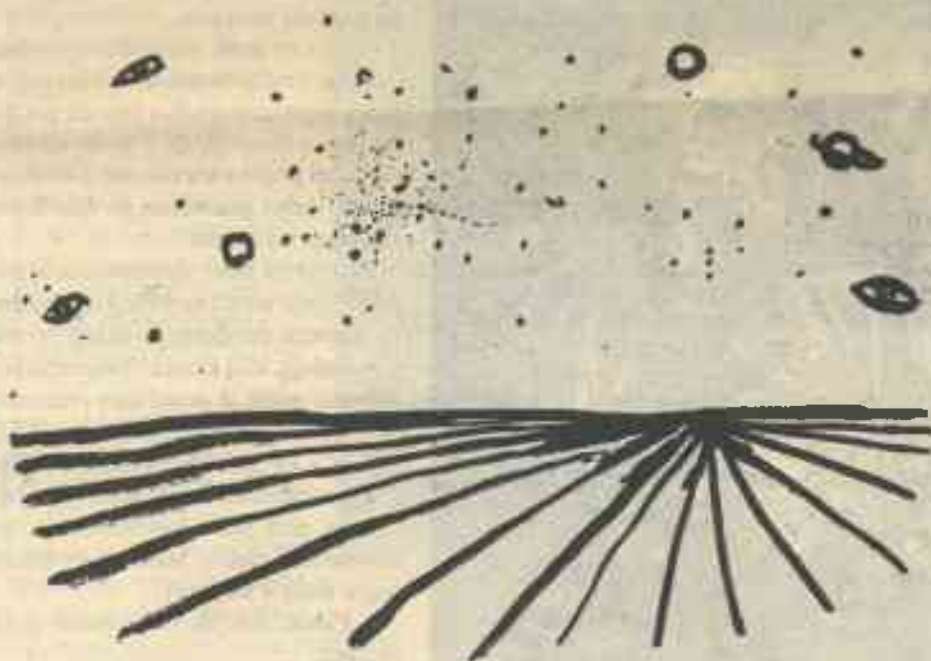
– Uważajcie, rzecze, panowie zuchy, nie lękajcie się! Nie lękajcie się! Nie zje! I nawet czapek nie zdejmujcie przed nim!

Weszli do pałacu, czekają, żeby car się ukazał. A jak się ukazał, Połubotok mu naprzeciw wychodzi:

– Nie dam, rzecze, kozaków na zagubienie i tyle.

Wyciągnął wtedy Piotr szablę z pochwy i przybił Połubotka do muru, żeby się zasuszył. Spogląda Połubotok na kozaków swoich, a oni wszyscy sami przygwoździli siebie do muru i suszą się. I tak oto sprawił sobie Piotr niezwykłą kolekcję – cztery sotnie kozaków i jeszcze jednego zasuszonego kozaka: w szarawarach i czapach.

Tak jak jest.



TOMASZ SIKORSKI

dokończenie ze s. 1

książka jest dla mnie nawet czymś więcej niż dla narkomana narkotyki. Wynika to z mego przekonania, iż w zasadzie każdy akt pisania to specyficzny szlak prowadzący nie tylko w głąb samego siebie, ale także w świat przodków. Gdy zajmuję się jedenastym, dwunastym czy szesnastym wiekiem, wtedy wczuwam się całkowicie w tę epokę, wręcz mieszkam w niej i w ten sposób przeżywam wielkie reminiscencje historyczne. Każdy pisarz, jeśli pisze dzieło swego życia, to pisze on księgę samego siebie. Tak oto i ja odczuwam samego siebie na przestrzeni wieków historii oraz poza nią.

*Czytając Pana opowiadania i powieści odczułam wrażenie, że sugestyniwsze i artystycznie lepsze są te, które dotyczą przeszłości.*

– Tak, jest to prawda. Po pierwsze dlatego, że Pani czytała *Wieczór świętej Jeleni*, a jest to jedna z wczesnych moich książek, natomiast proza historyczna jest późniejsza. Staram się pisać z jednakowym zaangażowaniem zarówno o przeszłości jak i teraźniejszości, jednak rezultat odbiega od moich założeń. Należę do tego rodzaju twórców, którym potrzebny jest dystans. Dlatego piszę o człowieku współczesnym w historycznym przebraniu. Wszystkie moje utwory historyczne

## Dom na wzgórzu

są więc także utworami współczesnymi, bo kiedy piszę o człowieku swego czasu, to postrzegam go w jednym wymiarze, a tak – widzę go w kilku.

*W „Domu na wzgórzu” i w „Głosie trawy” relacja folkloru i przeszłości do współczesności nie jest wcale taka oczywista. Na jakiej zasadzie folklor i historia istnieją w Pana książkach: są aluzją, symbolem, przypowieścią?*

– Otóż twórcze procesy nie zawsze są świadome. Niekiedy spełniają się one poza świadomością. W moim przypadku dotyczy to również powstawania książki *Dom na wzgórzu*. Najpierw pisałem część folklorystyczno-fantastyczną, czyli „Głos trawy”. I pisałem ją dość powoli: najpierw jedno opowiadanie, które odkładałem i długo sobie u mnie leżało, potem drugie i tak dalej. Miałem to szczęście, iż nie drukowano mnie przez dziesięć lat, stąd też mogłem sobie pozwolić na ten luksus. Dopiero potem, kiedy znów sięgnąłem po te napisane już opowiadania, spostrzegłem, iż układają się one w jedną całość. Mimo to chciałem wydać je oddzielnie. Na szczęście nie chciano mi tej książki opublikować. I w czasie gdy ona sobie leżała, zrozumiałem, że jej jeszcze czegoś brakuje. I dopisałem obecną część pierwszą, czyli „Dom na wzgórzu”. Wtedy wydawało mi się, że książka uzyskała perspektywę historyczną, dzieje nowego bohatera – przypowieść, która działa jak moralitet, jest nauką dla ludzi nie widzących nic dookoła siebie. Dzieje bohaterów *Domu na wzgórzu* przemawiają nie jakimś sylogizmem moralnej nauki, ale obrazem artystycznym pozbawionym komentarza.

*A czy kiedykolwiek poczuł Pan, że w Pana utworach zyskało odbicie prywatne doświadczenie?*

– Mam taki charakter, że jestem trochę lekkomyślny. Kiedy nastal ciężki okres w moim życiu, to nie robiłem z tego żadnej tragedii. Nie przyłączyłem się i nie zachowywałem jak moi koledzy z bohemy artystycznej, którzy pili i przepijali swój mózg i talent. Natomiast w tym czasie zachwylił mnie ukraiński barok. Wydałem pięć książek z tego okresu. Po drugie, mam również w sobie coś z artysty, który siedzi w wieży z kości słoniowej, i który zadowala się tym tylko, że tworzy. Wysyłanie w świat moich książek jest dla mnie aktem dosyć nieprzyjemnym. Utwór, który leży u mnie, jest żywy, mogę do niego jeszcze wracać, popatrzeć z boku, coś zmienić. Natomiast książka opublikowana jest dla mnie martwa. Dlatego wszystkie utwory już wydane traktuję jak trupy swoich dzieci. Stąd też długo nie oddaję ich do druku, przetrzymuję, pragnąc aby pobyły jeszcze tylko dla mnie. Był jednak taki czas, kiedy patryłem na masę rękopisów w domu i byłem trochę przerażony, co będę z nimi robił. Jednak potem, gdy opublikowano część z nich, pytałem siebie ze strachem, co będę bez nich robił.

*Pana bohaterowie są najczęściej ludźmi samotnymi, ciągle stojącymi wobec wyboru między drogą i domem...*

– Tak, Pani to dobrze określiła, gdyż uważam, iż wielkim nieszczęściem człowieka dwudziestego wieku jest jego niezmiernie samotność. Swoimi utworami leczę siebie z własnej samotności, jak też, poprzez swoją twórczość, posyłam sygnały tym ludziom, którzy czują się samotni. Żyjemy w czasie dość strasznym, skomplikowanym. Dlatego też – i to jest paradoks – człowiek może ochronić swe szlachetne cechy ludzkie tylko w samotności. Więc jest to przekleństwo i łaska zarazem. Symbolami tak dwojako pojmowanej samotności jest droga i dom. Dom jako łaska, droga jako przekleństwo... i pociecha ludzka czyli powrót. Dlatego tak bardzo interesuje mnie przypowieść o synu marnotrawnym i motyw ten przewija się przez całą moją twórczość.

*Wydaje mi się, że w Pana twórczości dom i droga jako*

dokończenie na s. 8

TYGODNIK 5  
LITERACKI

Walerij Szewczuk – ukraiński prozaik i tłumacz, urodzony w 1939 roku, ukończył historyczno-filozoficzny fakultet Uniwersytetu Kijowskiego. W Polsce ukazały się dwie jego książki: *Dom na wzgórzu* (tłumaczył Jerzy Litwiński, Warszawa, PIW 1989) oraz *Wieczór świętej jesieni* (tłumaczyła Elżbieta Mraczyńska-Razek, Wydawnictwo Lubelskie 1989).

# Jak z brata Semena wypędzano diabła

**P**rzyszł czas, że muszę zakończyć swoje pisanie. Robiłem to dotąd potajemnie, okazało się jednak, że nie ustrzegłem swojej tajemnicy: pogrążony w pisaniu nie zawsze słyszałem szelest za drzwiami, a niekiedy lekkomyślnie zapomniałem zamknąć okienko.

Poza tym zaczęli mnie odwiedzać mnisi, z którymi wdawałem się w rozmowy, nie kryjąc swych myśli. Najbliższy był mi brat Isakij, ale przeniósł się już do lepszego świata. Jemu bez obawy mógłbym pokazać to pisanie – więcej nauczyłem się od niego niż on ode mnie. Teraz przychodzi do mnie najczęściej młody mnich Nykin. Pokochałem go całym sercem. Odwiedzał mnie zwykle wówczas, gdy byłem zmęczony pisaniem i odczuwałem potrzebę słownej szermierki. Miło mi było patrzeć w jego rozumne oczy, zachęcające mnie do zwierzenia swoich przemyśleń z całego mego życia.

– Tyle, mój przyjacielu, przeczytałem tu ksiąg – mówiłem do mego pilnego słuchacza – i wszystkie one grzeszą jednym: są jednowymiarowe i monotonne. A przecież twórca nie może zastygać i kostnieć, lecz musi być w ciągłym ruchu myśli, w ciągłym procesie tworzenia bez początku i końca, kiedy narodziny przechodzą w umieranie a śmierć w narodziny, powinien być jak drzewo nieśmiertelne: jedne gałązki usychają a inne wyrastają. Liście zjawiają się i więdnące spadają, a on trwa ciągle, dopóki we wszechświecie istnieje życie. Życie, przyjacielu, to właśnie on, twórca, który porusza świat i daje mu nieśmiertelność. Z niego sływa na nas, i lęk, i radość, i szczęście, bo on jest duchem–stwórcą.

Te rozumne oczy w moim okienku piły chciwie każde moje słowo i każdą moją myśl.

– Czyż Bóg nie zabronił ziemskich rozkoszy i ziemskiego bogactwa? – pytał nieśmiało.

– Zabronił – odpowiadałem pogodnie. – Ale tylko tych rozkoszy, które wyrastają ze zła. I tego bogactwa, które powstaje z potu i krwi innych.

– A czy bywa inne bogactwo?

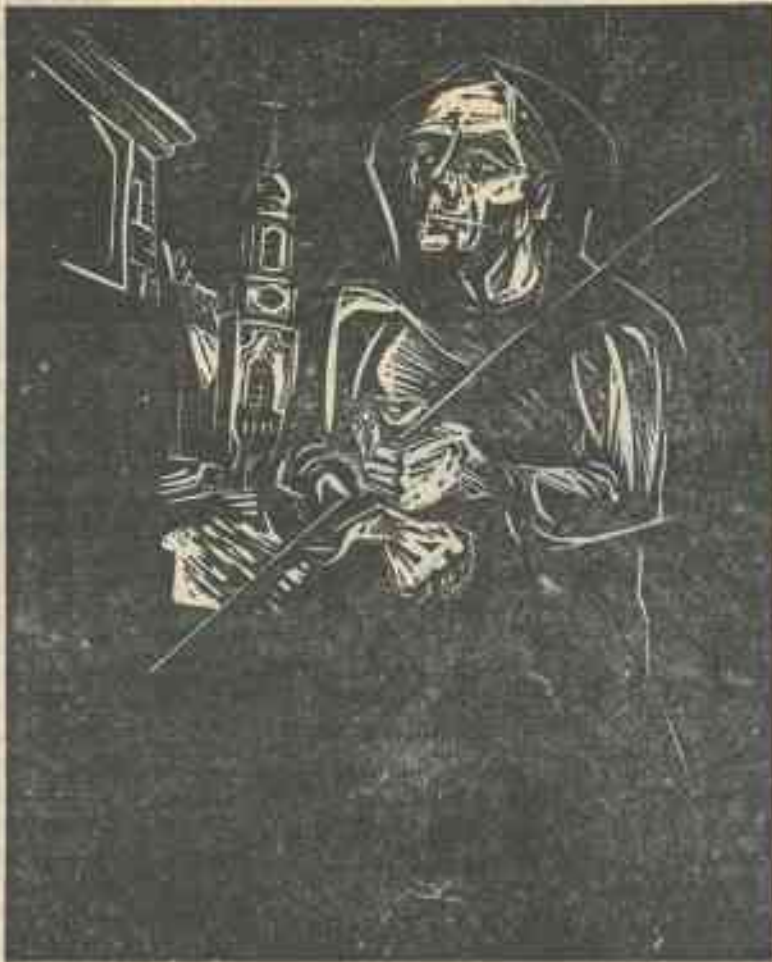
– Bywa – odpowiadałem. – Ale nie złotem się je mierzy, lecz dobrem. Kto czysty sercem, ten bogaty.

– Ale z pustym żołądkiem – uśmiechnął się smutno Nykin.

– Człowiekowi nie tak znów wiele trzeba, żeby się nasycić. Nie zna on jednak granic w zaspokajaniu swoich zachcianek. Gdyby zebrać razem pieniądze, które wydaje się niepotrzebnie, można by nakarmić wszystkich głodnych. Ludzie chcą jak najwięcej wziąć z życia. Lęk przed głodem każe napełniać szczerze żołądek, a pycha każe mniemać, że wszystkich przewyższa się swoim rozumem. Głupota pojawia się tam, gdzie nie ma wątpliwości. Prawda istnieje, ale nie zna ona granic, każde jej ograniczenie to kajdany zaś prawdziwy

jej wymiar to dobro, tworzone przez człowieka. Świat jest tragicznie rozdwojony i trwa w ciągłym zmaganiu się dobra i zła. Znajdź w tym wirze zmagania miejsce dla siebie. I staraj się zachować swoją prawdziwość i swoją czystość. Nie jest to łatwe i nie każdemu się udaje, bo tak już jest na świecie, że jeden przed drugim musi zginać kark, jednak nie zapominaj, że w człowieku nigdy nie umiera myśl o jego wyższym powołaniu.

Tak często rozmawialiśmy, a właściwie mówiłem ja a Nykin słuchał. Przychodzili też do mojej celi inni mnisi, skłonni do rozmyślań oraz pragnący zrozumieć lepiej świat i siebie. Resztę czasu spędzałem na czytaniu, bo miałem w celi sporo książek. Swoje pisanie trzymałem



PETRO HUMANIUK

w tajemnicy nie z ostrożności lecz z obawy, czy moi bracia nie dopatrzą się w nim złych intencji. Dlatego postanowiłem poddać je Bożej woli: kiedy stanie się pożyteczne, ludzie je wykopią, a jeśli okaże się niepotrzebne ludziom – zgnije jak wszystko w świecie.

Wiedziałem już co zrobię, kiedy skończę to pisanie: wyjdę z celi i nie opowiadając nic nikomu, porzucę szare ściany celi i cały ten smutny świat, bo zawsze pociągał mnie świat inny, wielki i szeroki. Chcę żyć, jak się zdarzy: przyjdzie radość to będę się cieszył, a gdy nadejdzie smutek, będę się smucił. Nie wiem, czy zdziałam w tym szerokim świecie coś dobrego, ale na pewno nie uczynię nic złego. Chcę czuć nad głową słońce, podziwiać soczystą zielenią i żyć wśród ludzi tak, jak im każe natura. Mnie przydzieliła los najuboższy: patrzeć na świat z celi

i przesiewać wszystko co widzę, przez serce i duszę, nie jako uczestnik życia lecz jego bierny obserwator.

Wśród takich rozmyślań nadeszło południe. Przyniesiono mi chleb i wodę. Posiliwszy się skromnie, z zadowoleniem odpoczywałem. Nagle poczułem tupot wielu kroków. Zapisane pergaminy były dobrze schowane, więc nasłuchiwałem spokojnie. Kroki zbliżały się z jakąś uroczystą gwałtownością, wyczuwało się w nich zdecydowanie i nieodwracalność. Odczułem skurcz serca jako zapowiedź jakiegoś nieszczęścia. Kroki zatrzymały się przy mojej celi.

Spojrzałem przez okienko i odczułem wnikliwe spojrzenie ihumena.

– Bracie Semenie – powiedział twardo. – Otwórz. Chcemy wejść do ciebie.

Otworzyłem. Do celi weszli ihumen, jego zastępca Joann oraz Pymen, Polikarp, Isaja, Jeremiasz Przewidujący, Agapit Uzdrawiciel, Mykola, Onysyf oraz Nykin, z którym tak lubiłem rozmawiać. Chciałem poszukać jego oczu, jednak jego chłodne spojrzenie skierowane było w bok.

– Przyszliśmy do ciebie, jako do człowieka zwabionego przez diabła – zaczął ihumen – który napełnił cię fałszywą mądrością, jaką przekazujesz braciom. Doszło również do nas, że piszesz jakąś książkę potajemnie, w której nazywasz życie klasztorne jako przeciwne naturze i niemile Bogu oraz, że nie modlisz się należycie, jak przystało każdemu mnichowi. Wywnioskowaliśmy z tego, że zwabił cię wróg, a tym samym ty też stałeś się naszym wrogiem.

– Kto na mnie doniósł? – spytałem spokojnie.

– Ja, bracie Semenie – odezwał się Nykin. – Ten, który najwięcej słuchał twoich podstępnych myśli. Początkowo zapadały mi w serce, ale wnet zrozumiałem, że to diabeł przemawia twoimi ustami, więc żeby uratować cię i siebie poszedłem do ojca ihumena i o wszystkim mu opowiedziałem...

Patrzył na mnie chłodnym, obcym spojrzeniem. Napełnił mnie wielki smutek, bo oto zdracając okazał się ten, do którego przygnałem całym sercem.

– Żałuję, mój bracie – powiedziałem, – że dostrzegłeś zło tam, gdzie ja przed nim przestrzegałem.

– Dobre były twoje słowa – odpowiedział zimno Nykin – ale pod ich maską kryło się zło.

Zrozumiałem, że nie mam siły, by go przekonywać: była w nim jakaś mściwa pasja, nie potrafił jednak uświadomić sobie, jakie są jej korzenie. Poczułem się nagle słaby i samotny.

– Gdzie jest to, co pisałeś potajemnie? – spytał ihumen.

Zapisane pergaminy były zakopane, tylko jeden czysty arkusz leżał na widoku.

– Nie pisałem, tylko miałem zamiar pisać – odpowiedziałem. – Chciałem poprowadzić dalej dzieło brata Polikarpa.

– Twój zamiar był zbożny – rzekł Polikarp. – Ale czy ja źle wykonałem swoją pracę?

– Zapisalesz co wiedzalesz. Ja chciałem spisać to co ja wiem.

– Nie ma grzechu w takiej pracy – odezwał się ihumen. – Ale wszystko co napisane bracia mają przejrzeć i rozważyć, czy przypadkiem nie zniesławilesz naszego klasztoru. Bo gdyby się okazało, że go zniesławilesz, popełniłbyś ciężki grzech i spadłoby na ciebie przekleństwo Antoniego i Teodozego.

– Zamierzałem pisać tylko świętą prawdę – powiedziałem.

– Świętą prawdą może być tylko to, co służy sławie naszego klasztoru – powiedział Polikarp.

– Święte słowa, bracie Polikarpie – skinął głową ihumen. – Ale rozejrzyjcie się, czy nie ma u brata Semena czegoś napisanego.

Młodzi mnisi rzucili się skwapliwie do przeszukania celi, a najgorliwszy w tym był Nykin. Wówczas podszedł do mnie Jeremija i położył mi na ramieniu chłodną

i trzęsącą się ze starości rękę.

Pergaminowi, mój synu, można powierzać tylko myśli dobre.

Spojrzałem mu mimowolnie w oczy: płonęły jasnym światłem.

– Miałem dziś, bracia, widzenie – mówił Jeremija, przymknawszy zielone, jak wiosenna trawa, oczy. – Otóż ujrzałem brata Semena w postaci kruka, który trzymał w dziobie kawałek zapisanego pergaminu. Siedział on na gałęzi, a diabeł w postaci anioła prosił tego kruka, by mu dał ten pergamin. Brat Semen już chciał spełnić jego prośbę, bo uwierzył, że to anioł przed nim stoi, ale w tym momencie z wierzchołka drzewa zleciał gołąb i uderzył skrzydłami anioła po oczach. Ten natychmiast poczerniał, zaś brat Semen z czarnego zrobił się białym krukem.

Otworzył oczy, które były teraz jak liście na tle jasnego nieba.

– Piękny twój sen, bracie – powiedziałem wolno. – Ale skąd wiesz, że w tego gołębia też diabeł się wcielił?

– Poczerniał przecież nie on, tylko ten rzekomy anioł – odparł dobrodusznie Jeremija. – Ale ty, bracie, czemuś pobladłeś... – powiedział, chytrze mrużąc oko; zrozumiałem, że nie chciał mi szkodzić.

– Ja też miałem tej nocy widzenie – powiedziałem, przyglądając się swoim paznokciom. – I również o kruku i pergaminie. Tylko że pergamin trzymał anioł, a kruk atakował go i chciał mu go odebrać. A anioł był jakiś bezradny, nie bronił się przed nacierającym krukem i tylko zasłaniał rękami twarz.

– I co, wyrwał mu kruk ten zapisany pergamin? – spytał zaciekawiony Jeremija.

– Nie – odrzekłem. – Pergamin stracił już wartość, bo lzy anioła zmyły cały zapis.

– A kto był tym krukem? – spytał Jeremija, bacznie mi się przyglądając.

– A skąd mam wiedzieć – odpowiedziałem. – Zapamiętałem tylko same barwy, białą i czarną, i że to czarne zmagало się z tym białym.

Mnisi zakończyli już rewizję celi i, jak można było oczekiwać, znaleźli tylko pióro, atrament i czysty pergamin. To widocznie uspokoiło ojca ihumena; podszedł do Jeremiji i zaczął z nim coś szeptać. Z tego co usłyszałem, zrozumiałem, że zastanawiali się, czy oskarżyć mnie o związki z diabłem, czy jeszcze poczekać.

Opanował mnie bezbrzeżny smutek. Rozejrzałem się po celi: była ciemna i ponura, ale znalazłem tu schronienie, i było mi pogodnie na duszy: właśnie tu nawiedzał mnie ten ogień, który pozwalała mi żyć i pisać. Więc inna była przyczyna mego smutku: że wszystko na świecie jest niepewne i efemeryczne, że nawet w tę zapomnianą przez ludzi pieczęć mogą się wdrzeć ciemne postaci i grzebać w tym, co dotąd uważałem za wyłącznie swoje. I sam poczułem się taką ciemną celą, to po mnie depcą ci czarni ludzie, to w mojej duszy szukali oni zapisanego pergaminu. Szperali w mojej głowie, tropili w długich, zwiniętych korytarzach mego mózgu, niuchali, jak niuchają gończe psy.

– Dobrze – zawyrokował ihumen. – Wyjdziemy teraz, żeby narodzić się z braćmi.

Pozostał w celi tylko Jeremija.

– Daremnie to czynisz, mój synu – powiedział cicho, oświetlając mnie dużymi, zielonymi oczyma.

– A co ja takiego robię? – spytałem szybko.

– To, o czym wiesz ty i co ja dostrzegam. Chcesz iść na udry.

– Powiedzieliście, ojcze, chyba nie to co trzeba – odpowiedziałem nieco zuchwale. – Co złego i komu ja uczyniłem?

– Opanowały cię wątpliwości, bracie Semen – powiedział w zamyśleniu Jeremija, kiwając głową. – A wątpliwości i diabeł, to jedno.

– Czy może pochodzić od diabła to, co oczyszcza duszę?

– Może tak, a może i nie – zareagował z powagą

Jeremija. – Jedno wiem: musisz się przyznać, że ciebie jednak kusił bies.

– Bóg z wami, ojcze!

– Pomyśl – Jeremija zupełnie zamknął oczy i twarz jego wydała się jak z pergaminu. – Pomyśl, synu: i ty jesteś grzeszny i ja jestem grzeszny. Kiedy wyznasz, że kusił cię diabeł, to my pomodlimy się za ciebie i znowu będziesz jednym z nas. Nas wszystkich diabeł kusi i każdy z nas musi się kajać. Bez skruchy, synu, nie ma powrotu!

– Powrotu dokąd?

– Nie udawaj głupiego. Powrotu do życia, jeśli ci ono drogie.

Zamyśliłem się. Znowu opanował mnie smutek jak wtedy, kiedy odczułem, jak depcą mnie czarne buty. Mimo że chowałem się ze swoimi myślami, to jednak to i owo dotarło do braci. I mimo że myśli te uważałem za swoich przyjaciół, wypuszczałem je na wolność, jak wypuszcza się z klatki ptaszka. One poleciały w świat i nie ma już dla nich do mnie powrotu. Nagle uświadomiłem sobie, że Jeremija rzeczywiście chce mego dobra: dla niego przecież nie ma świata poza klasztornymi murami. Dopiero teraz dotarła do mnie istota jego przypowieści:



PETRO HUMANIUK

rzeczywiście stałem się białym krukem, którego zewsząd przeganiają i biją, chyba żeby znalazł jakieś stado tak samo białych jak on kruków. I nagle zrozumiałem: nie ma czystego i przejrzystego nieba i nie ma kuszących cię wolnych dróg. Są tylko setki zakątków i zakamarków, i każde z nich otoczone jest szarymi ścianami. No i co: opuścisz jeden zakątek i trafisz do innego, gdzie też trzeba wyciągać rękę po chleb. „Upodobnienie – pomyślałem – oto co zbija ludzi w gromady i daje im możliwość przebywania razem, chociaż nie ma na świecie jednakowych ludzi, i zawsze będą pozostawać z sobą w sprzeczności. By je złagodzić, jednakowo się ubierają i starają się jednakowo wyrażać swoje myśli, chociaż są one dwojakie: jedne dla siebie, a inne dla ludzi. Siła upodobnienia zjednuje ludzi ale jednocześnie ich rozjednuje. Stąd konieczność nakładania upodabniających masek. I biada temu, kto nie wypracował w sobie tego rozdwojenia myśli i kto odrzucił precz maskę. Staje się pogardzanym przez braci banitą z ich wspólnego zakamarka. Staje się bezdomny tak długo, aż włączy się do innego zakamarka. Ale najsmutniejsze jest to, że kto występuje przeciw upodobnianiu, nie przeciw niemu powstaje, lecz za nim, tylko w innej postaci.

– Dlaczego zamilkłeś? – spytał Jeremija. – Nie masz wyboru.

– Dobrze – powiedziałem cicho i lzy zalały mi oczy.

Zgoda!

Wówczas Jeremija dał znak ręką i do mojej celi zaczęli kolejno wchodzić mnisi.

– Nasz brat Semen chce się pokajać – powiedział poważnie i uroczyście Jeremija. Wyznał w rozmowie z mną, że jego rzeczywiście nachodził diabeł, i chociaż walczył z nim ile sił, nie zawsze odnosił nad nim zwycięstwo. Tylko nasza wspólna modlitwa, bracia, może pomóc bratu Semenowi. Ukłęknij, synu!

Ukłękłem. Wokół mnie zabuczało. Zdawało mi się, że widzę pastucha, który trzaska biczem, zaganiając do stada krowę, która je opuściła. Z oczu moich popłynęły łzy, lzy rozpacz, bólu i wstydu.

– Módlcie się bracia, żarliwiej – odezwał się ihumen. – On płacze, Bogu niech będą dzięki, to znaczy że diabeł go opuszcza.

„Tym razem wszystko odbywa się prosto – pomyślałem. – Każdy grzeszy i każdego męczy diabeł, zwykła rzecz. Wymaga się tylko jednego: poddać się, ugiąć i skapitulować. Wtedy wszyscy będą ci nawet współczuć, i chociaż przez pewien czas będą wobec ciebie podejrzliwi, nie odtrącają cię. Ale biada temu, kto nie zmięknie i nie podda się. Długi bicz dosięgnie go wszędzie i będzie chłostał boleśnie i niemiłosiernie”.

Mnisi byli zadowoleni z mego płaczu, chociaż nawet przenikliwy Jeremija nie znał jego prawdziwej przyczyny. Sam nie brał udziału w egzorcystycznych pieśniach, był zbyt zmęczony, za wiele dziś mówił. Stał pośrodku celi z rozstawionymi nogami i oparłszy się o łaskę, drzemał. I nagle zrozumiałem: on kiedyś też miał nieugiętego ducha, on też spoglądając na niebo wdychał w swoich czterech szarych ścianach. Biedny, biedny Jeremija.

Spojrzałem raz jeszcze na Nykona: tak szczerze przyglądnąłem do niego całym sercem, że uważałem go za swojego najbliższego ucznia. Teraz śpiewał. Zawzięcie i w natchnieniu, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę. Spotkaliśmy się tym razem spojrzemiami: w jego zawziętych oczach błysnęła nienawiść. „Oto gorliwy stróż upodobnienia – pomyślałem. – Jest teraz najgorszym z nich, bo przecież zna dobrze moje myśli”.

Nie czułem jednak do niego nienawiści i nie osądzałem go. Głęboko mu współczułem. Być może zostanie kiedyś nawet biskupem, ale biedny on, biedny, biedny...

Wreszcie zawodzenia umilkły. Odśpiewali odpowiednią liczbę psalmów i modlitw, i zabrawszy mój atrament, pióro i pergamin, wyszli z celi w głębokim przekonaniu, że się pokajałem...

Kiedy zostałem znowu sam, zdecydowałem się opisać to co tu teraz zaszło i zakończyć tym moją księgę. Na szczęście miałem w schowku jeszcze kilka czystych

arkuszy pergaminu, zapasowe pióra i trochę atramentu. Na więcej niż tu napisałem, nie starczy. Zrobię to teraz tak, jak umyśliłem: włożę wszystkie zapisane arkusze pergaminu do przygotowanego wcześniej garnka, na wierzch położę czyste liście i zaleję smołą. A potem zakopię swój skarb głęboko w ziemi i niech się z nim dzieje wola Boża. Może pozostanę tu, a może porzucę klasztor, bo ciągle wola mnie zielone słońce na niebie. Chciałbym też zobaczyć, czy ludzie jednakowo tańczą ten życiowy taniec. Jeśli tak, to się zasmucę, jeśli nie – możliwe że się ucieszę; wiem już, że tego świata ani mój smutek ani moja radość nie zmieni. Być może wyleję niejedną łzę, która szybko wyschnie na obliczu ziemi, a radość moją wyśpiewa ptak, którego pieśń pamięta się tak długo, dopóki ten ptak śpiewa.

Jedno wiem tylko: żyć chcę na tej ziemi tak, żeby nikomu nie uczynić nigdy zła. Jeśli mi się to uda, zielone słońce jak sądzę będzie mnie błogosławić a ludzie, mam nadzieję, nie osądzą zbyt surowo.

przełożył z ukraińskiego  
Stanisław Edward Bury

Prezentowany powyżej fragment prozy jest ostatnim rozdziałem powieści *Na poli smyrennomu*. Tytuł pochodzi od redakcji.

*przekleństwo i laska nie są sprzeczne, nie wykluczają się – a wręcz przeciwnie – uzupełniają.*

– Oczywiście. Można je pogodzić, bo są właściwe jednemu „ja”. Dom to forteca. Człowiek broni się w niej przed światem, który występuje przeciwko niemu i pragnie go zniszczyć, poniżyć, uczynić niewolnikiem, marionetką. A ponieważ dom jest dla mnie zawsze taką fortecą, więc stawiam go na górze. Lecz z drugiej strony, człowiek zamknięty w fortecy, czy nawet człowiek zamknięty w wieży z kości słoniowej odczuwa łaskę świata i przekleństwo w samym sobie. Dlatego droga jest dla niego nie tylko przekleństwem, jest także nadzieją. W jednym z moich opowiadań bohater doskonale uświadamia sobie, że chociaż wyruszy skądś i pójdzie w świat, to i tak powróci w to samo miejsce zatoczywszy wielkie koło. Z tym, że początek tej wędrówki – ucieczki od swej samotności, to może sygnał dla ludzi, odczuwających w podobny sposób.

W swych książkach próbuję stworzyć obraz człowieka świata, samotnego Człowieka Kosmicznego. To symbol ludzkiego istnienia rozłożonego na setki milionów innych istnień rozsianskich po całym świecie. Wyjście z domu oznacza próbę odszukania właśnie takiego obrazu człowieka. Oczywiście, jest to obraz symboliczny, jednak daje mi on podstawę do tego, aby być pisarzem. Moja twórczość nie jest popularna – piszę dla osobliwego rodzaju czytelnika, dla takiego, który przyjmie mnie jako kogoś bliskiego. Dlatego też nigdy nie martwię się wysokością nakładu moich książek. Wystarczy mi minimalny nakład w chwili gdy wiem, że moje książki spotykają się z oddźwiękiem i odczuwam to na spotkaniach z czytelnikami. Wtedy wiem, że moja misja jako pisarza została spełniona, to znaczy nie czuję się jak ten chłopczyk, który odbija piłkę o ścianę. To oznacza, że mimo wszystko energia, którą wysłałem w świat gdzieś zaowocuje.

*W Domu na wzgórzu często pojawia się motyw niebieskiej drogi. W jakie zaświaty ona prowadzi?*

– Niebieska droga to symbol życiowego szlaku, ale w każdym człowieku istnieje potrzeba wstąpienia na inny szlak, na drogę do Wieczności. Bo człowiek istnieje nie tylko dla siebie i dla świata obecnego i żywego, on istnieje także dla przyszłości i przeszłości, które są jednością. Oto jest Wieczność, którą ja zastępuję słowem Bóg. Wszelkie poszukiwania duchowe bez jakiegoś pojednania z Duchem Wiecznym są niemożliwe. Dlatego człowiek w swojej wędrówce wznosi się ku Wieczności, to znaczy ku Bogu. Myślę, że kiedy zaczynamy zbyt często wymawiać imię Boga, bliźniymi przeciwko wierze – a jest to początek śmierci. Bóg jest wiecznie zakryty dla człowieka, jest Tajemnicą. Możliwa jest tylko jakaś indywidualna, tajemna rozmowa z Bogiem.

*Zadam więc Panu pytanie o jeszcze jedną tajemnicę. W jakim stopniu pozostaje Pan pod wpływem uroku języka ukraińskiego i możliwości jakie on z sobą niesie?*

– Rzeczywiście, język ukraiński jest jedną z większych tajemnic. Pomaga mi dopełnić moje życie. Mowa ukraińska posiada taką jedną cechę, którą zawsze staram się wykorzystać – jest bezkresna w swojej intonacji i ma w dialektach niezliczoną ilość synonimów. Dlatego w języku tym można uchwycić przeróżne odcienie, malować bardzo subtelne obrazy. Znam strukturę języka staroruskiego, staro-cerkiewno-słowiańskiego, staropolskiego, i znam historyczny rozwój tych języków. Tłumaczyłem utwory z literatury staroruskiej i z innych okresów. Dlatego, kiedy przychodzi czas na moje pisanie, to nie odczuwam żadnego dyskomfortu w momencie, gdy muszę uchwycić rytm czy rym jakiegokolwiek epoki. Wszystko to jest dla mnie zupełnie naturalne.

*Pana powieści zalicza się do gatunku „chymerny roman”, który jest w literaturze ukraińskiej odpowiednikiem powieści realizmu magicznego. Czy na ukształtowanie się tego gatunku na Ukrainie miała wpływ literatura iberoamerykańska?*

– Owszem, pojawiło się nawet u nas takie pytanie: czy gatunek „chymerny roman” ma jakiś związek z literaturą iberoamerykańską. Częściowo ma, a częściowo nie. Na Ukrainie literaturę iberoamerykańską zaczęto czytać w latach siedemdziesiątych, kiedy to podstawowe ukraińskie powieści z gatunku „chymerny roman” były już opublikowane. Ku magicznemu realizmowi zwróciło się pokolenie lat sześćdziesiątych, gdyż pragnęło ono w jak największym stopniu zbliżyć się do realnej prawdy życia, odrzucając jednocześnie fałszywą literaturę socrealizmu, literaturę sztuczną, gabinetową. Chcieli pisać o człowieku, który siedzi na ławce i trzyma twarz w dłoniach, który właśnie kogoś potrącił... To właśnie był powrót do realizmu. I w kilka lat potem prawie wszyscy poczuli, że się wypalili. Zaczęli szukać nowych sposobów wypowiedzenia się i właśnie pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy magiczny realizm w literaturze światowej nie był tak popularny, właśnie wtedy powstały najlepsze pozycje ukraińskiego magicznego realizmu z gatunku „chymerny roman”. Nie mogły być one jednak opublikowane. Na przykład moją książkę *Piaki z niewidzialnej wyspy*, w której były zamieszczone utwory z końca lat sześćdziesiątych pisane w stylu magicznego realizmu, wydano dopiero niedawno. Książka ta zawiera przypowieść filozoficzną opartą na dokumencie historycznym – jest to taka swoista fantastyka przeszłości. Natomiast fantastyka przyszłości nie interesuje mnie, gdyż uważam, że człowiek (na szczęście) nie zna swojej przyszłości, nie powinien jej znać. Natomiast powinien

znać swoją przeszłość, dlatego fantastyczny sposób widzenia odniosłem do przeszłości.

*Zaczął Pan mówić o książce Ptachy z niewydymoko ostrowa. Zawiera ona utwór „Na poli smyrennomu”, którego fragment publikujemy w tym numerze „Tygodnika Literackiego”. Czy mógłby Pan nam powiedzieć o tej książce coś więcej.*

– Książka ta odniosła pewien sukces. Przetłumaczono ją na język rosyjski, czeski i niemiecki. Ja osobiście mam do niej chłodny stosunek, gdyż pisałem ją w czasie gdy nagromadziła się we mnie niechęć do świata. To był rodzaj psychoterapii. W książce tej wykorzystałem zasady poetyki barokowej, tworząc pewien model świata, społeczeństwa zamkniętego, totalitarnego. Zarzucano mi jakieś antyreligijne tendencje, podczas gdy przeciwnie, chodziło o niewspółmierność czystości religijnego życia do władzy państwowej, która stara się rzeczywistość duchową, religijną ujarzmić. Religijna czystość czyni człowieka wolnym, a władza państwowa dąży do zniszczenia wolności. Protestuję przeciwko temu przez całe życie. Protestuję nie jako publicysta, ale jako artysta, nigdy nie dając recept moralnych, nie proponując prostej negacji czy prostej pochwały. Są w *Na poli smyrennomu* przykłady sposobów samoobludy, ucieczki od życia, przystosowania się za wszelką cenę. A propos, jeden

## Dom na wzgórzu

kolega po przeczytaniu powieści powiedział mi: „słuchaj, to przecież obraz naszego Związku Literatów”, i prawidłowo, bo przecież pisarze to zamknięta korporacja, która żyje według zasad specyficznych dla instytucji państwowych. Są tam tacy, którzy poszukują, upadają. Istotnie chciałem stworzyć w powieści uniwersalny obraz świata. A traktuję ją chłodniej, bo uważam, że w swym widzeniu świata muszę być obiektywny, a ślad mojej namiętności w tej książce pozostał.

*Czy to znaczy, że tęsknota jednego z bohaterów – Semena – za wolnością, za otwarciem, była również Pana tęsknotą?*

– Tak. Pisałem tę książkę w 1978 roku, w czasie, kiedy będąc profesjonalnym pisarzem nie miałem możliwości zarabiania na życie. Byłem zupełnie wyłączony z literatury, wszystkie moje oszczędności wyczerpały się zupełnie. Był taki czas, że nie miałem nawet na tramwaj i chodziłem wobec tego pieszo, no i oczywiście wtedy trochę się zdenerwowałem.

*Ale teraz chyba to się zmieniło?*

– Kto wie, filozof Skoworoda powiedział: „Natura metalu szlachetnego jest taka, że im bardziej go trzesz, tym bardziej się błyszczy”.

*Ciekawa jestem, w związku z tym wszystkim co Pan powiedział wcześniej, jaki jest Pana stosunek do literatury rosyjskiej.*

– Trudne pytanie, ponieważ nie lubię literatury rosyjskiej, choć przeczytałem najważniejsze pozycje. Nie lubię dlatego, że pisarze rosyjscy kochają człowieka ułomnego, a cała moja twórczość to dokładne przeciwieństwo ich upodobań. Ta literatura czyni mnie bardziej nikczemnym, ona mnie łamie jeszcze bardziej niż jestem złamany. Nie potrzebuję takiej literatury. Poza tym jest to literatura narodu, który najbardziej nam się dał we znaki, chociaż muszę przyznać, iż wielu ludzi na Ukrainie czyta literaturę rosyjską i poświęca jej dużo czasu.

*Czy myśli Pan zatem, że nie można oddzielić w swych upodobaniach artystycznych niechęci wynikających z historycznych przesłanek od sposobu pojmowania i przyjmowania danej literatury?*

– Nie całkiem tak. Kiedyś przeżyłem zachwyty nad tą literaturą, bardzo dużo czytałem, a szczególnie pociągali mnie najciemniejsi z rosyjskich pisarzy. Ale w pewnym momencie coś mnie od tej literatury odpechnęło. Ona nie przynosi mi żadnych impulsów badawczych, tylko rujnuje. Rosjan czytam wobec tego rzadko, wyjątkiem są tylko najnowsze ich osiągnięcia.

*Czy nie jest tak, że brakuje Panu w rosyjskiej literaturze właśnie nadziei?*

– Otóż właśnie, ta literatura pozbawiona jest wiary i nadziei, ukazuje jaki to człowiek jest nikczemny, ile narobił niegodziwych rzeczy. A moje stanowisko jest inne: człowiek jest

wspaniały. Jednak ciężko jest być wspaniałym i mimo wszystko nie pozostać nędznikiem.

*Pana razi ten ekstremizm w przedstawianiu bohatera. Ale być może to stanowi o naturze człowieka, którą Rosjanie rozumieją pamiętając o grzechu pierworodnym.*

– Oni zbyt mało pamiętają o tym grzechu. W religijnym świecie Rosjanina zawsze występuje jakiś nadmiar. Kiedy modlą się do Boga, to modlą się po dwadzieścia godzin, a od poklonów rozbijają czoła. Właśnie owo niedotrzymywanie miary mnie od nich odpycha.

*Parę razy padło tu nazwisko Skoworody, którego Pan uważa za swego mistrza. Czy jest on jedynym pańskim mistrzem?*

– Skoworoda był odkryciem mojej młodości. Kiedy byłem młodym znalazłem książkę Bahatija jemu poświęconą i dzięki niej poznałem naukę Skoworody jak żyć. Skoworoda naucza, że człowiek wkracza w przerażający świat i jego głównym zadaniem jest uchronić swą duchową istotę. Była to dla mnie dobra szkoła. Jakiś czas potem byłem pod wpływem Iwana Franko, który zawycił mi swoim szerokim spojrzeniem na świat i literaturę. Był człowiekiem bardzo otwartym i nauczył mnie patrzeć na literaturę bez jakiegokolwiek dogmatycznych ograniczeń. Jego dzieła wydano na Ukrainie w pięćdziesięciu tomach, ale żeby zmieścić w nich całą jego twórczość trzeba by było jeszcze ze stu. Był to człowiek, który znał wszystkie języki europejskie, z wielu tłumaczył, widział swoją literaturę przez pryzmat literatury światowej. To właśnie dzięki niemu zrozumiałem, że jeśli jest się twórcą literatury, to trzeba oprócz swego rodzinnego błota, wiedzieć co się dzieje na świecie. Tego nauczył go Drahomnow, jeden z ukraińskich filozofów, zanomity folklorysta. Od Drahomanowa przejąłem zainteresowanie folklorem i antyogolowski pogląd na folklor ukraiński. Gogol jest dla mnie przykładem, jak mówi się u nas, „malorosjanizmu”. Uważał on folklor za materiał dla rozrywki. Starał się egzotycznie bawić czytelnika. Moja książka *Dom Na wzgórzu* to negacja, czy dyskusja pisana przeciwko Gogolowi. Postawiłem te same tematy i ten sam sposób myślenia zupełnie poważnie. Uważam, że folklor to część ludzkiego ducha – nie jakaś bajka, egzotyka, ale że przy pomocy tej poetyki można dokonywać niezwykle subtelnych i głębokich analiz psychologicznych ludzkiej duszy.

*No właśnie – problem folkloru. U nas mówi się o „cepeliadzie”, o sztucznym odtwarzaniu. Natomiast na Ukrainie, zdaje się, jest on wciąż obecny nie tylko w literaturze, ale i w życiu.*

– Tak, jest on częścią duszy narodowej, narodowego charakteru. Na przykład weźmy pojęcia czarta. U Rosjan jest to diabeł, forma jakiejś nikczemności, a na Ukrainie może on być dobry albo mściwy, tym samym może być człowiekiem. Demonologia to obraz przyrody tej samej ziemi, na której żyje człowiek, a zarazem odbicie samego człowieka, jego poglądów, wierzeń... Dlatego uważam, że nie jest to mistyka (jak to się u nas uważa), ale po prostu sposób poetyckiego widzenia świata, czy raczej artystycznego widzenia świata.

*Czy sądzi Pan, że jest to charakterystyczną cechą ukraińskiej kultury?*

– Tak, to specyficzna, ukraińska cecha, i dla Ukraińców bardzo znamienne jest myślenie artystyczne w takiej demonologicznej i folklorystycznej formie. Przygotowujemy właśnie książkę, która będzie zbiorem prozy folklorystyczno-fantastycznej. Ten magiczny realizm, o którym rozmawialiśmy wcześniej ma w literaturze ukraińskiej bardzo głęboką tradycję, która ciągnie się od osiemnastego wieku aż po dzień dzisiejszy.

*A jaki jest Pana stosunek do literatury współczesnej i jej twórców – młodych pisarzy?*

– Zauważyłem ostatnio jakiś kryzys w literaturze najnowszej, być może wynikający z tego, iż nasze pisma zajęły się przede wszystkim literaturą „pisarzy odrzuconych”. Przez to cierpi proza współczesna, głównie pisarze młodzi. Niedawno pojawił się bardzo interesujący nurt – tak zwana „nowa fala” – w literaturze. Jest to młoda eksperymentalna proza. Jej młodzi twórcy zainteresowani są przede wszystkim eksperymentami formalnymi. Są przy tym niepohamowani zarówno w swych poszukiwaniach jak i w ujawnianiu swych emocji. Oczywiście nie mam przeciwko poszukiwaniu i eksperymentowaniu. Uważam, że pisarz musi się wyszumieć, wypróbować wszelkie pisarskie sposoby, po to aby dojść do własnego stylu. Swego czasu ja też szumiałem i starałem się łamać wszelkie możliwe konwencje, dopóki nie zrozumiałem, że najważniejsza nie jest forma, sposób wypowiedzi, ale to co chcę powiedzieć. Myślę, że kiedy dochodzi się już do takiego przekonania, to znaczy, że jest się dorosłym – tu zaczyna się dorosłość... I powstaje problem: czy mogę powiedzieć światu coś takiego, czego nikt przede mną nie powiedział, czy potrafię dostrzec w człowieku coś takiego, czego nikt przede mną nie dostrzegł? Jeżeli tego nie umiem, nie mogę zrobić – to znaczy że nie jestem potrzebny. Jeżeli nie jestem zdolny wydobywać, odkrywać ludzkie tajemnice (a w tym jest przecież wyższe powołanie) wtedy nie ma dla mnie miejsca w literaturze. Jednak wszystkie dzieci powinny mieć literackie zabawki i powinny bawić się w literackie gry, bo jeśli będą oni konserwatystami formy od samego początku, to będą konserwowali swój mózg, a mózg pisarza powinien być wolny, pozbawiony wszelkich więzów.

rozmowę w imieniu redakcji prowadziła  
Agnieszka Piwowarska



Roztrząsanie problemów polsko-ukraińskich kojarzy się z roztrząsaniem obornika. Podchodzi się do nich więc z należytą ostrożnością. Odrębnie zaś stanowią soczysty nawóz dla rozkwitu obydwu narodowych martyrologii.

Ostatnie sukcesy na odcinku tworzenia nowożytnej problematyki polsko-ukraińskiej obfitują w eufemizmy typu: poprawne stosunki, partnerskie relacje, czy dobrosąsiedztwo. Nie dostrzega się natomiast jedynego sprawdzonego w historii rozwiązania narzmiętej tematyki.

Takim rozwiązaniem jest miłość polsko-ukraińska.

W polityce unika się bezpośredniości, lecz nie polityką żywi się człek coraz bardziej

łoża oto wtoczył się trzeci partner – Wielki Brat i Mać w jednej osobie – tworząc klasyczny trójkąt. Jego pojawienie położyło tamę płynącym ku sobie uczuciom Polaków i Ukraińców na czas dłuższy. Ukraińcom zafundowano pogadanki o wyższości nowego partnera w łóżku, okraszone nadmierną porcją zwyrodniałego seksu z solidną dawką musztry. Odtąd Olence i Tarasykowi ostalo się jeno tkliwe spozieranie ku Żdziom i Wiesiom zza spowitych w kolczaste druty kordonów przyjaźni.

W przyrodzie nic nie trwa wiecznie. Zmienił się klimat i grunt dla uprawiania miłości. Rozromantycznione narody słowiańskie szukają ujścia dla swych uczuć.

Należy zatem zbadać przesłanki dla fak-

20 kwietnia o godz. 15 grupa niezidentyfikowanych osobników zorganizowała manifestację przesiedleńców na stacji Gdańsk Główny. Rozrzucając i skandując hasła tłum domagał się przesiedlenia z odwiecznie ukraińskiej prowincji Gdańszczyzna ze stołecznym grodem Gdańsk do Altet Deutschiand Prowinzione-Galizien.

Celem tej grubymi nićmi szytej intrygi było sterroryzowanie Polskich Katolickich Kolei Państwowych (nie mylić z b. PKP, teraz wszystko u nas katolickie), poprzez przybycie na dworzec z tobołkami i walizkami, w których znajdowały się dziwne przedmioty jak np. materiały propagandowe na białym papierze formatu A-4 o następujących tytułach:

- 1) „Akcja Wyszła”
- 2) Reklamowe foldery kurortu w Jaworznie, oraz
- 3) Znaczkę z herbem dentystów (trójzębem)

Nieustraszeni kolejarze dzielnie dawali odpór, a jeden z wyrazieli opinii publicznej (vox populi, vox Dei) podsumował incydent sakramentalnym: „A wam co, źle tutaj?” – co spowodowało dematerializację wydarzeń, ludzi, imion, nazwisk i faktów, które okazały się nierzeczywiste, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących – przypadkowe.

Hans Otto T.

## Zakłócenia porządku w rocznicę akcji „Wisła”

Na drugi dzień był przepiękny poranek, gdy odważni, uzbrojeni po zęby, świetnie wyszkoleni byli działacze byłej Solidarności ze stoickim spokojem przygotowywali się do odparcia szturmowi sympatyków przesiedleń. Cały zapal okazał się śmiechu wart, gdy zamiast milionów wrogów pojawiła się nędzna garstka niedobitków.

Z sukcesem odparł ją mężny pułkownik BORu który, mimo ohydnej prowokacji ze strony któregoś z nacierających, (mężnego pułkownika nazwano ciecieniem) nie odwołał się do swojego zabójczego jogurtu, by uziemić intruza. Całość zmagania zakończyli odważni łowcy wszelkich osobliwości (gady, płazy, skorupiaki, Ukraińcy) zajmując się katalogowaniem, opisem i fotografowaniem przybyszów czego rezultatem był znaczny postęp nauki polskiej.

## SZTUKA KOCHANIA

post-totalitarny. Historia nie notuje wielu przykładów szczerzej i nieskazanej miłości platonicznej, wiele natomiast miłości zdecydowanie fizycznej.

Wydaje się, że czas najwyższy, by u schyłku XX w. do słowników dyplomatycznych i podręczników historii wprowadzić pojęcie miłości międzynarodowej, będącej wyższą formą związku (antidotum na) ascetycznej komunistycznej przyjaźni i równie ascetycznej klerikalnej miłości małżeńskiej.

Idea polsko-ukraińskiej miłości wydaje się zrazu horrendalnym nieporozumieniem zważywszy, że oba narody gustują raczej w miłości do samych siebie, a ewentualną sympatią obdzielają z reguły narody zajmujące rogatki kontynentu (z racji odległości chyba). W statystykach wzajemnej sympatii, zarówno Polacy na Ukrainie, jak i Ukraińcy w Polsce zajmują pozycje w dolnych partiach stanów najniższych. Ale jak mawiają Senegalczyki „kto się lubi, ten się czubi”. Miłość polsko-ukraińska ma bowiem swoje korzenie w historii. Wszak jedynym niekwestionowanym twierdzeniem w historii stosunków jest to, że granica podziałów etnicznych – element przetargowy przy każdej okazji – przebiegała dokładnie przez środek łoża małżeńskiego. Jest to niepodważalny dowód, iż kochanie polsko-ukraińskie miało miejsce w praktyce. Elementarny kontakt międzyludzki sprawić mógł materializację hasła „Europy bez granic”, który to problem zauważany wcześniej był błędnie interpretowany w koncepcjach Polski od bieguna do bieguna, tudzież Ukrainy od Atlantyku po Atlantyk. W skali makro zdrowy stosunek seksualny wyparł kazirodczy nieco flirt brata-Lacha z siostrą-Rusinką i trwał przez wieki niemalże sielankowo – czasami tylko partnerzy przerywali go, by pofolgować narodowym tradycjom: porznać, popalić, pogwałcić, przy czym ukryć się nie da, że bardziej do tradycji przywiązani byli Ukraińcy. (Złośliwi twierdzą, iż były to prowokacje wymierzone w staropolską tolerancję, ale ta bronila się godnie za pomocą konia i szabelki). Z czasem flirt ów zaczęły toczyć dewiacje, a seks ustąpił miejsca przemocy. Do

tycznego odtworzenia tradycji polsko-ukraińskiego lubowania. A takowe bezsprzecznie istnieją. Kwitnąca od wieków tolerancja przeżywa w Polsce swój bujny rozkwit i nikt wredny na nią nie czyha. Alści i Ukraińcy gotowi są wstrzemięźliwie sięgać do kanonu tradycji, co by ich mogło po wsze czasy usytuować na pozycji drugorzędnego narodu trzeciej ligi Europy (skądinąd słusznie).

Statystyczny Polak nie ma uprzedzeń rasowych, więc cznia narodowość partnera (-ki) wzdłuż i wszerz, zgodnie ze staropolską maksymą „biznes is biznes”. Złośliwy z natury Ukrainiec wyszydzi ów „kosmopolityzm”, ale i on niewiele myśląc opuści umiłowaną Macierz, by osiąść byle gdzie, nawet w kraju wierzy-płaczki i Matki-Polki. Liczyć się należy ze stopniowym zanikiem mitologicznych uprzedzeń na rzecz czystych uczuć, choć miejsce mieć będą jeszcze wypadki, gdy w miłosnych kombinacjach Jaś nie omieszką zweryfikować koloru podniebienia partnerki, a przed przystąpieniem doń upewni się o braku w okolicy przysłowiowej siekierki.

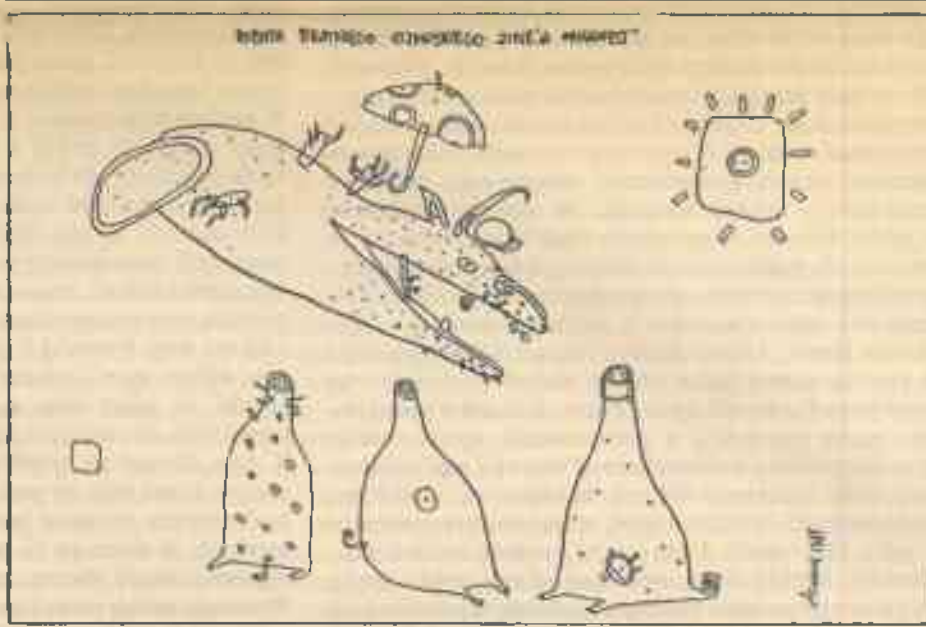
Również Natałka rada pierwiej sprawdzić, czy aby umiłowany nie kocha jej z powodów organizacyjnych na zlecenie ziomkostwa Lwowiaków. Z czasem jednak opory będą topnieć i wkrótce być może na ulice miast po obu stronach granicy, zamiast ultranacjonalistycznego menelstwa wylegną watahy miłujących się Polaków i Ukraińców, wypierając na margines partnerskie i dobrosąsiedzkie stosunki bazarowe.

Zatem czas niezwłocznie zorganizować okrągłe łoże praktycznego porozumienia polsko-ukraińskiego, podkropione suto atrybutami narodowych menu, co w pył zetrą historyczne naleciałości i lęk przed ubocznymi skutkami zbliżenia.

Wyznawana przez zdrowsze organizmy społeczeństw idea „mej k law not lor” znajduje nareszcie możliwość zaistnienia na dziewiczym poniekąd (che-che) gruncie, a rozkochane w sobie narody wywiedzie na trakt ku świetlejszej przyszłości.

GoGo

## Plujta się tęczami w dach, naplujta pełny staw



Ciemiejący co się zowie błyskotliwszy ułamek narodu ukraińskiego, okupujący aktualnie połacie kraju nad Wisłą, w stopniu równym co nie mniej ciemiejący jego właściciel odczuwa potrzebę posiadania godnego reprezentanta na najwyższym stołku (dawniej „stołcu”) państwowym. Zwłaszcza teraz, zanim sam dorobi się tyleż ynteligenego co przebiegłego kandydata o ściśle rdzennym rodowodzie, co by obejmując w posiadanie stołek umiejętnie zadośćuczynił potrzebom suto i inter-narodowym, jak Polska długa i szeroka, a Polak Polakiem.

Wprawdzie jedynym rozsądnym kandydatem zdaje się być imię General, którego bezpośredni udział w Akcji „Wisła” (święto narodowe Ukraińców) przyczynił się do rozszerzenia ukraińskich wpływów na ziemię ponoć odzyskane i do niewątpliwej europeizacji zazjatyżowanej Ukrainy, za co ta winna mu dozgonną wdzięczność, to jednak nie chcąc do reszty kompromitować skompromitowanego wystarczająco image'u, zamiast prosić o kandydowanie lewego kandydata Ukraińcy machnął się muszą na nieco większą oryginalność.

Niezbyt oryginalne będzie również zasilanie głosami kandydata prawicy, o ile wiadomo, iż na topie zainteresowań tejeż Ukraińcy honorowo posiadli ostatnie miejsce po Żydach, homoseksualistach, kurwach, złodziejach i komunistach.

Zatem zdrowy rozsądek, wespół z wiernością militarnymi tradycjom, każe nam sądzić, iż jedynym godnym, a zarazem miłym w dotyku kandydatem w wyścigu do stołca jawi nam się imię Major – szef fortacy Breslau, zdominowanej przez napływową ludność narodowości, co tu ukrywać – ukraińskiej.

## UPA do boju! deklaracja wyborcza

Świadomi faktu, że suche, tj. nie przyprawione odpowiednio logiczną ilością litrów czystego spirytusu na statystyczne gardło mieszkańca poparcie nie zda się na nic, wzywamy przeto do aktywnego poparcia poprzez organizowanie lokalnych i krajowych struktur Ukraińskiej Pomarańczowej Alternatywy na terenach okupowanych przez mniejszość ukraińską, czyli – bądźmy szczerzy – w całym kraju.

Sukces Majora w wyborach (rym własny) wydaje się być przesądzony, tyle że na niekorzyść, bowiem epoka nie cierpi jednostek przerastających ją samą. Major zapewne zostanie

doceniony po śmierci, po wcześniejszej rehabilitacji, a jeszcze wcześniejszym odsądzeniu od czci i wiary katolickiej i publicznej sterylizacji twórczej, ku uciesze zdewociałej gawiedzi.

Ale fakt obdarzenia go zaufaniem wprowadzi Ukraińców do annałów historii po raz pierwszy jako naród z dalekosiężnie rozwiniętym myśleniem politycznym, jeno również niedocenionym w swojej epoce.

Wyborco płci ukraińskiej – wesprzyj zatem swym kruchym grzbietem i wątlwym głosem naszą kandydaturę ku chwale ojczyzny!

Każdy głos na wagę stołca!

Narodzie! – organizuj się w strukturach Ukraińskiej Pomarańczowej Alternatywy!

Precz z Bezruchem Plebejskim i Nieporozumieniem „Rogatkii”!

Nazi Front – wont!

Wio na wybory pod pomarańczowym sztandarem!

UPA na polityczną scenę!

Major na stołek – stołek na Majora!

Komitet Wyborczy  
Ukraińskiej Pomarańczowej Alternatywy



# JERZY ANDRZEJEWSKI □ korespondencja [2]

dobroczyncy ludzkości, wybawcy i mściciela krzywd – co na ogół wiernie wypełniają dzisiejsi Makiewela uczniowie. Tak, tak, wszystko to stare jest jak Ziemia, wszystko to znane i zapewne tylko brak potrzebnego oddalenia wkłada nam w usta zdanie o zupełnej elastyczności człowieka i o zupełnej nowości tego, co rozgrywa się przed naszymi oczami. Skoro jednak zgodzimy się, że w najbardziej nawet zdawałoby się drapieżnych armiach i programach elementarne poczucie etyczne jest otoczone pewnym poważaniem, stajemy przed zagadnieniem innym. Ten sam schemat etyczny, ta sama sympatia dla dobra i niechęć do zła do jakże rozmaitych prowadzą czynów, jakże rozmaite są wypełniane treścią! Hierarchia wartości etycznych łatwo nadaje się do odwracania i przesuwania w niej szczebli. Niemiec, wzorowy syn, mąż,

przekór wszelkim potężnym hasłom historyzmu, który zaprzecza niezmiennym, stałym pierwiastkom, sądzę, że tak. Każdy konsekwentny chrześcijanin zgodzi się tutaj z mną bez trudności – gdyż jedna i obowiązująca po wszystkie czasy prawda Ewangelii nie dopuszcza żadnych odchyżeń i mędrkowań. Ale powiedziałem w poprzednim liście, że poszukuję podstawy pewnej w oderwaniu od jakiegokolwiek wiary i że tę podstawę widzę w instynkcie etycznym – czy jak to kto chce nazwać – że to jest instancja jedyna wśród kłębówiska rzeczy wątpliwych. I oto jestem w kłopotcie. Jak to – powie ktoś – skoro ten sam popęd etyczny, bez którego w ogóle nie można budować cywilizacji, raz usprawiedliwia niewolnictwo, kiedy indziej pochwała palenie czarownic na stosie albo wycinanie w pień dziesiątków tysięcy albigensów, kiedy indziej znowu godzi się znakomicie z tępieniem niegermańskich narodów – czyż można uznać to za jakąś wyższą instancję, za wzorzec czynów i idei! Jest to być może jedynie wrodzony popęd do wartościowania, ale jak wartościować – pozostaje kwestią otwartą i oto znowu jesteśmy pozbawieni jakiegokolwiek stałego punktu.

I tutaj natykamy się na zasadniczy spór, toczący się od stuleci w łonie cywilizacji zachodniej pomiędzy pesymistyczną i optymistyczną koncepcją człowieka. Chrześcijaństwo nieufnie patrzyło na przyrodzoną zdolność człowieka do rozróżniania dobra i zła. Cnota stoików, obywatela się bez pomocy boskiej grzeszyła w jego oczach nadmiarem pychy. Wrodzone skłonności ludzkie, nie rozjaśnione światłem łaski, musiały, zdaniem Kościoła, doprowadzić zawsze jedynie do grzechu, zaślepienia i obłądzenia. Co więcej, Kościół zachodni z pewnym niedowierzaniem patrzył na zdobywanie owej łaski w odosobnieniu, na załatwianie rachunków między Bogiem i duszą ludzką w czterech ścianach. *Ecclesia* miała być pośredniczką, rozdawczynią łask poprzez ustanowione w tym celu sakramenty. I jakkolwiek rozum ludzki nie był otoczony pogardą, to zawsze miał to być rozum, chodzący ścieżką zakonu Pańskiego, rozum – wyrażając się językiem doktorów Kościoła – przeświecony słońcem nadprzyrodzonej wiedzy. W tej nieufności do ludzkiego uposażenia w przymioty zdrowego sądu, w odwoływaniu się nie do wyczucia przeciętnego człowieka, ale do zdania *Ecclesiae militantis* – wyraża się właśnie pesymistyczny pogląd na naturę ludzką, skazoną grzechem pierwotnym i niezdolną do rozróżniania dobra i zła bez użycia nadzwyczajnych środków. Odrodzenie i Reformacja wystąpiły z aktem wiary w autonomiczną moralność, w ziarno prawdy, tkwiące w każdym człowieku, wystąpiły z pochwałą naturalnego rozumu. Więzy organizacji kościelnej i pomoc sakramentów stały się zbyteczne, skoro każdy posiada w sobie głos, dyktujący nieomylnie co czynić należy, a czego nie należy. I łaska albo potępienie stały się tajemnicą serca ludzkiego, któremu ulgi nie użyczy kapłan, ani drogi nie naprostuje żadna encyklika. Oto załóżek wiary w człowieka, jako sędziego swoich czynów, oto człowiek urasta do kolosalnych rozmiarów – pan swoich przeznaczeń, zdający z nich sprawę tylko i wyłącznie Bogu. A potem przychodzi optymistą Rousseau, wychowany w duchu protestantyzmu i głosi przyrodzoną dobroć człowieka, maluje w najponętniejszych barwach wszystkie wrodzone popędy zwierzęcia ludzkiego, oskarżając cywilizację, że je skaziła. A potem przychodzi optymistą i protestantem Nietzsche, nawołując do całkowitego wyzwolenia człowieka z kajdan „moralności niewolniczej” nawołując do przekształcenia cywilizacji w ducha potęgi i zdrowia, a nie prawdy, rzucając hasło: „Niech ginie prawda, niech

stanie się życie”. (I stało się, biedny, obłąkany filologu...) A Nietzschemu wtóruje protestant i optymistą Gide, gorący jego wielbiciel. A potem ci nowi, ci najnowsi, dobrze nam znani czciciele wspaniałego zwierzęcia w człowieku. Mam tu książkę młodego poety hitlerowskiego, ofiarowaną mi przez autora w roku 1935. Sięgam po nią i odczytuję w dedykacji: „Au dessus de la loi le créateur a posé la vie”. No tak, znamy to, znamy. Życie jest ponad prawem, życie arabia i tworzy prawa na swój użytek, życie łamie prawa, gdy zajdzie potrzeba, a życie to człowiek wspaniały, nieodpowiedzialny przed żadnym trybunałem, wolny, sam z siebie wysnuwający prawa swoich czynów. Powoli, powoli. Zapalam się nadmiernie. Tak mówi o protestantyzmie niejeden pisarz katolicki, że wspomnimy chociażby Maritaina. Tak przemawiałby Naphta, gdyby jego spór z Settembrinim, zanotowany na kartach „*Czarodziejskiej góry*” Manna, rozgorzał dzisiaj na nowo. Jednak wiara w człowieka miała wielu pięknych przedstawicieli, którzy strzegąc się wynaturzeń, popełnionych przez Rousseau czy Nietzschego, zachowali umiar i z optymistycznej koncepcji człowieka wyciągnęli zupełnie inne wnioski, że wspomnę chociażby literaturę anglosaską. Niemniej muszę przyznać jedno: kto chce szukać instancji moralnej w człowieku i na niej się oprzeć, kto wierzy w prawo do autonomicznego rozstrzygnięcia etycznych problemów – idzie raczej drogą Humanizmu i Reformacji niż drogą katolickiego Kościoła. A droga od Lutra do Rosenberga jak słusznie powiadasz nie jest wcale kręta – podczas gdy Rosenberga od katolicyzmu dzieli przepaść.

Nie, nie mam złudzeń. Wszyscy szlachetni humaniści, rozprawiający do dziś dnia o prawach człowieka i obywatela, wywodzą się z rodziny duchowej, którą Kościół niejednokrotnie potępił, składając w ten sposób świadectwo swojej mądrości. I tak jak w demokracji tkwił załóżek cezarysty i totalizmu, tak w ich nawoływaniach do zupełnej wolności sumienia i myśli tkwił załóżek niewoli. Człowiek stał się wolnym, ale będąc wolnym, stworzył pewne idee historyczne i ugiął kark pod to przez siebie sporządzone jarzmo. Niedługo dała się utrzymać idea człowieczeństwa samego w sobie. Przetrawiły ją jak żrące kwasy dzieła filozofów, którzy za cel sobie postawili udowodnienie, że „człowiek” jest abstrakcją, że nie ma człowieka pisanego z wielkiej litery, a są tylko plemiona, klasy, różne cywilizacje, różne prawa i różne zwyczaje, że dzieje są wypełnione walką grup ludzkich, a każda z nich niesie ze sobą inną etykę, inny obyczaj i inny obraz świata. Zapragnęli oni, jak Marks, udowodnić, że „bat określa poznanie”, czy też, jak powiada mój hitlerowski poeta, że „ponad prawem Stwórca postawił życie”. W ślad za tym przyszła konieczność zastąpienia pojęcia bliźniego pojęciem węższym, pojęciem proletariusza czy aryjczyka i zamiast „nie czyni krzywdy bliźniemu swojemu” mówiło się już odtąd „nie czyni krzywdy rodakowi swojemu”, albo „nie czyni krzywdy robotnikowi”. I tutaj, mój drogi, podziel się z Tobą największą z moich wątpliwości. Czy jest oparcia religijnego i metafizycznego słowo „człowiek” nie jest słowem zbyt wieloznacznym! Czy z chwilą, gdy odbierze mu się takie znamiona jak dusza nieśmiertelna i odkupienie przez Chrystusa, nie rozpada się natychmiast na mnóstwo odmian, z których jedne są lepsze, drugie gorsze, z których jedne godne są opieki i hodowli, a inne doszczętnego wytepienia! Czy wreszcie możliwe jest wynalezienie jakiejś jednej etyki, skoro *daimonion*, puszczony samopas, okazuje się czymś w rodzaju Pytii: jego wyroki można tłumaczyć najrozmaiciej, tak, jak komu wygodniej – a wie o tym dobrze p. Goebbels. Nie pociesza mnie bynajmniej zdanie pisarzy w rodzaju Huxleya. Tocząc się po równi pochyłej ku wilczym dołom totalizmu wraz z całą Europą, zdają się o tym nie wiedzieć i krótki okres niezupełnie jeszcze naruszonej równowagi pomiędzy wolnością i niewolą biorą za stan trwały. Nie pociesza mnie powoływanie się na tradycję europejską – jej wóz jechał nieraz bardzo wyboistym torem, a przyszłość zapominała o ciemnych chwilach przeszłości...

A więc zrezygnować z próby poszukiwania instancji etycznej w człowieku, wrzucić ramionami nad beznadziejnością ludzkich uzasadnień i jeżeli walczyć – to tylko jako jeden z zagrożonego narodu, tylko jako wróg wobec wroga! Jest coś, co buntuje się we mnie, coś, co żąda abym wymierzał sprawiedliwość i abym osądzał i jednych i drugich – przesładowców i przesładowanych – miarą inną niż miara patriotycznych uniesień.

Pozwól mi zakończyć list tą wątpliwością. Niech ona zrównoważy moją częstą pochopność.

ciąg dalszy korespondencji prezentować będziemy w najbliższych numerach „Tygodnika Literackiego”.



CZASZKA

JACEK SEMPOLINSKI

kochający ojciec rodziny będzie pastwił się nad podczłowiekiem, Żydem czy żołnierzem sowieckim, przejęty wizją słuszności i sprawiedliwości, która nakazuje oczyścić Europę od podobnego robactwa. Że domiesza się tutaj właściwa mu dawka sadyzmu, nie narusza to jeszcze mojego przykładu. Sadyzm czysto bydlęcy, nagi i prosty zdarza się o wiele rzadziej, niż sadyzm umotywowany, zaopatrzony we wszelkie argumenty, potrzebne do uczynienia z niego skłonności szlachetnej i pożytecznej. Żydzi czy bolszewicy są odpowiedzialni za wojnę, są szkodliwi, mordowali Niemców, są podludźmi, są brudni, należą do niższej i niezdolnej do kultury rasy – temu podobne racje przychodzą w pomoc sadyzmowi, tej bestii śpiącej w każdym człowieku, gdy chce ona pohulać bezkarnie – bezkarnie czyli na marginesie uporządkowanej etycznie reszty życia, zostawiając czyste ręce, które będą pieścić główkę dziecka, albo zapalać świeczki na choince w noc wigilijną. Jakąż więc treścią wypełnić ów schemat normy etycznej, ku czemu ją skierować, aby nie prowadziła na bezdroża! Czy istnieje jakaś jedna treść prawdziwa, podczas gdy inne są podrobieniem i oszustwem! Na

# polemiki

## Ireneuszowi Krzemińskiemu w odpowiedzi

Ireneusz Krzemiński powiada, że krzepię się ideałami chrześcijańsko-narodowymi, a styl mój przypomina najlepsze kawałki publicystyki „Trybuny Ludu”. Rozumiem, że polemista mój nie zna brzydszych wyrazów, jakich można by w polemice na łamach „Tygodnika Literackiego” użyć.

A wszystko to z powodu użycia przeze mnie kategorii moralnych w analizach literackich, w szczególności zaś wobec Jarosława Iwaszkiewicza. *Popatrz Ewuniu, bocian leci!* – *Nieprawda, nie ma bocianów!* – zapisał Julian Tuwim, tytułując ten dialog „Przyczynek do dzieła o pomieszaniu pojęć”. Otóż chciałbym podkreślić z całą mocą, że bociany rzeczywistości istnieją, i to nawet wtedy, kiedy nie tylko w „Trybunie”, ale wręcz w „Prawdzie” pisano, że to prawda.

„Trybuna Ludu” lubiła stawiać swoim ideowym przeciwnikom zarzut, że sprzedali się za imperialistyczne dolary. Najczęściej był to zarzut fałszywy, służący do uchylecia się od polemiki merytorycznej. To prawda, proszę mi jednak nie wmawiać, że wynika z tego, iż nikt nie sprzedawał się za sowieckie ruble, bądź że historyk nie powinien dziś o tym mówić, nawet jeżeli tak było.

Przez lata powtarzano u nas z lubością zdanie, że „Polska nie miała swojego Quislinga”, jakby nie zdając sobie sprawy, że jest ono równie prawdziwe jak teza, że „Norwegia nie miała swojego Berlinga”. Nie byłoby natomiast prawdziwe zdanie, że pcelewska literatura nie miała swojego Prezesa Iwaszkiewicza i taj zwanej



JÓZEF HAŁAS

linii iwaszkiewiczowskiej na dodatek. I nie byłoby prawdziwe zdanie, że linia owa odznaczała się moralną czystością. To są fakty historyczne, których Krzemiński nie próbuje negować – zamiast tego starając się zdyskredytować moje o tym wszystkim pisanie za pomocą prostej sztuczki stylistycznej: oto w tytule swojej polemiki umieszcza przerażające słowo „czystka” – tyle że znów dochodzi do pomieszania pojęć: w języku, z którego słowo to zapożyczaliśmy, oznacza ono pranie – i niech mi Krzemiński nie wmawia, że kto się do prania bierze, niechybnie zostaje Stalinem.

To, co się w Polsce przez owe 50 lat działo, nie działo się bez wiedzy i zgody narodu, a w szczególności jego wybitnych przedstawicieli. Chciałbym, aby zostało opisane, co się działo, jak się działo, kto w tym uczestniczył, a następnie żeby podjęte zostały próby poszukiwania odpowiedzi na pytanie: dlaczego. Z tego, co wiem, motywy owego uczestnictwa były różne – od skrajnego obalamucenia do skrajnego cynizmu poprzez to wszystko, co się między tymi skrajnościami zawiera.

To przesada, to trąci egzaltacją. Pomińmy „wielobarwną mozaikę” i porównanie z filmem amerykańskim. „Uczucie estetycznego spełnienia”? Chociaż zaledwie zgaduję co Autor chciał przekazać, to twierdzą, że podobnych odczuć film Trelińskiego wywołać u nikogo nie może. A „jakieś zmysłowej błogości” w kinie po prostu nigdy nie doświadczyłem, i prawdę rzekłszy, nie tam jej szukam.

Czytając tekst Wernera zastanawiałem się nad jednym – jak daleko można posunąć się w eskalacji zachwytów? Czy można na przykład z okazji *Pożegnania jesieni* wymienić *Wesele Wajdy*, *Pamiętnik znaleziony w Saragossie* Hasa, czy *Dolinę Issy* Konwickiego. Okazuje się, że można. Z kolei na porównania z *Łabędzim śpiewem* Roberta Glińskiego film Trelińskiego nie zasługuje. Glińskiemu udało się nawiązać do bogatej tradycji *Komedii nudnej*, a film Trelińskiego na pewno nudny nie jest.

Wreszcie funduje Werner reżyserowi ostatni komplement – „Treliński wiedział co robi – stworzył coś bardziej filmowego od samego filmu”. Znowu czegoś nie rozumiem – jeśli może być coś bardziej filmowego od samego filmu, to może istnieje coś bardziej kamiennego od kamienia? Albo bardziej wodnistego od samej wody?

Trzeba oddać sprawiedliwość krytykowi: czegoś mu w filmie Trelińskiego brakuje. Czyni więc delikatną wymówkę, że reżyser mógł „skupić się na filozofii, to znaczy przełamać na przykład kilka z najbardziej uciążliwych stereotypów towarzyszących myśleniu o Witkacym”.

Po pierwsze, nijakiego myślenia o Witkacym nie ma. Sezon Witkietwicz skończył się dobre kilka lat temu, myślenie o nim jeszcze dawniej. Treliński wydobył Witkacego z cienia, otrzepał z kurzu. Tę zasługę trzeba reżyserowi oddać.

Po wtóre, skupić się na filozofii Witkacego nie jest wcale tak prosto. Prywatnie uważam, że jest to niemożliwe. Nie udało się tego uczynić samemu Witkacemu. Dlatego nie stworzył własnej filozofii. Nadto uważam, że jeśli w filmie Trelińskiego czegoś brakuje, to tylko Bazakbala odśpiewującego *Krytykę czystego rozumu*. Mówiąc poważnie, nie ma rzeczy tak do siebie nieprzystających jak film i filozofia. Nawet w filmach oświatowych ta dziedzina myśli ludzkiej wypada nader błado. Zaś istotą kina kreacyjnego jest obraz i ruch. Kinogeni-

Czy to ja idę drogą „Trybuny Ludu” chcąc nieprzyjemnie czasem pytania stawiać i domagać się, aby nie przemilczać tego, co się w istocie wydarzyło? Powiadam w swoim tekście: Iwaszkiewicz nie był komunistą. Powiadam w swoim tekście: Iwaszkiewicz na całego współpracował z komunistami, ku ich wielkiemu zadowoleniu. Czy Ireneusz Krzemiński kwestionuje prawdziwość któregoś z tych zdań? Nie. Ale jednocześnie wyraża głęboką dezaprobatę dla zastanawiania się nad tym fenomenem.

Jego dezaprobatę budzą przede wszystkim zawarte w moim tekście cytaty z Iwaszkiewicza: gdyby nie ja, można by nie pamiętać ani „Listu do Prezydenta Bieruta”, ani wiersza „Azjaci”, ani wielu fragmentów „Książki moich wspomnień” czy „Alej Przyjaciół”. Chciałbym jednak podkreślić, że ani tego wszystkiego nie napisałem, ani w żaden sposób nie zmuszałem Iwaszkiewicza, aby to pisał, a drastyczne dla Krzemińskiego moje analizy biografii pisarza ograniczają się do tych szczegółów, które on sam podawał drukiem do publicznej wiadomości, bowiem o wielu rzeczach, o których wiem skądinąd – nie pisałem.

Polemika Krzemińskiego stwarza wrażenie, jakobym w swoim tekście demonstrował pogardę wobec homoseksualizmu i określał go jako coś niemoralnego, powiem więc dla porządku, że to nieprawda. Wykazywałem natomiast, że Jarosław Iwaszkiewicz demonstrował w swoich tekstach pogardę wobec kobiet i starał się wykazać, że wszystkie kobiety to kurwy. Uważam, że taka teza, nawet w mniej prostackiej formie wyrażona, stoi w osobliwej sprzeczności z aksjologią kultury śródziemnomorskiej, a także z jej elementarną etypią; zgadzam się w pełni z oczywistą skądinąd tezą Ireneusza Krzemińskiego, że godna napiętnowania jest pogarda dla drugiego człowieka biorąca się stąd, że ten drugi człowiek jest nieco inny – jest na przykład homoseksualistą, Żydem czy – kobietą.

Broniąc Iwaszkiewicza przed formułowanymi przeze mnie zarzutami pointuje swój wywód Ireneusz Krzemiński tezą wysoce dialektyczną: Iwaszkiewicz propagował zgniliznę moralną, gdy tymczasem Józef Stalin propagował moralną czystość. Skoro wiemy, że Stalin był antytezą moralności, jest dla mojego polemisty jasne, że im bardziej Iwaszkiewicz moralnie zgnił, tym bardziej w istocie moralny.

Pewnie można i tak, tylko rodzi się pytanie, czy to ja dokonuję jakichś dziwnych, pokretnych i niezbyt uczciwych sztuczek dla udowodnienia podejrzanym tez?

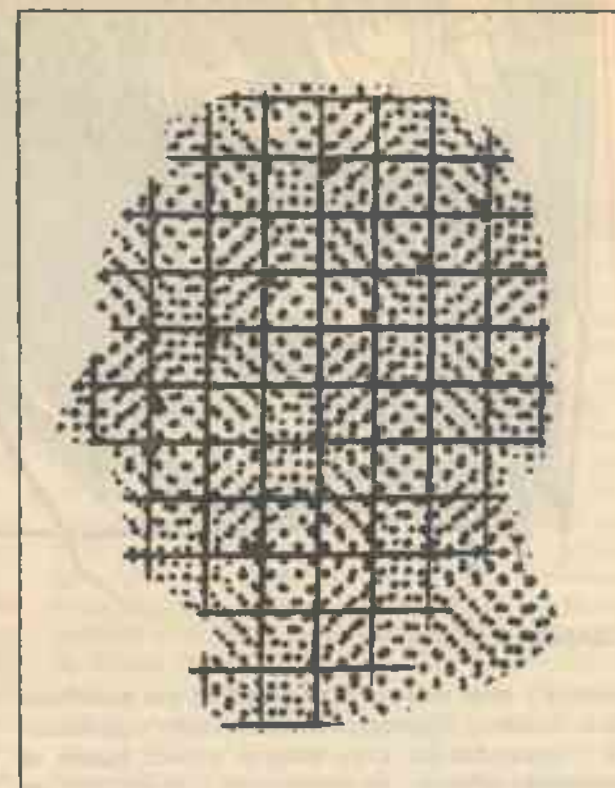
Jan Walc

## O sztuce używania wykrzyknika

W wrześniowym numerze znakomitego miesięcznika „Kino” Mateusz Werner ogłosił entuzjastyczną recenzję filmu Mariusza Trelińskiego *Pożegnanie jesieni*. Tekst swój opatrzył przewrotnym, mylącym tytułem – „to nie kino!”. Z wykrzyknikiem jak widać. Ponieważ mnie akurat film Trelińskiego ani nie zachwycił, ani nie zmierzył, pozwolę sobie na krótką sprzeczkę z Wernerem. Będę miał przyjemność kilkakrotnie zacytować jego tekst. Ostrzegam lojalnie – będę przytaczał fragmenty wyrwane z kontekstu. Nie tylko dlatego, by łatwiej nimi manipulować, lecz także po to, by uniknąć wyrażenia w rodzaju: „a la martyr”, „par excellence”, jak mówi Maria Janion – „pro forma”.

Do dzieła więc. Pisze Werner tak: „Zdumiewa łatwość, z jaką Treliński żongluje obrazami – patos *Nietolerancji* (klasowej) sąsiaduje z atmosferą *Toma Jonesa* Richardsona. I choć nie ma tu milionów dolarów włożonych w produkcję – ta *fin de siecłowa* karuzela widm spowita narkotycznym tumanem jazzu Michała Urbaniaka przekonuje i odurza”. Jak przekonuje, skoro nie przekonuje i jak odurza kiedy nie odurza. Trepaki odgrywane przez Urbaniaka może mają coś wspólnego z tumanem, ale z jazzem na pewno nie.

„Książka – pisze dalej Werner – będąca w istocie zdyskursywizowanym, futurologicznym traktatem filozoficznym – stała się pretekstem do zabawy z kamerą. Kadry rozsypują się w wielobarwną mozaikę, która bawi i kusy by patrzeć, i choć pojawia się złośliwa refleksja, że te dźwięki tak dźwięczne jak w pierwszym lepszym amerykańskim filmie, ustępuje ona uczuciu estetycznego spełnienia, jakiejś zmysłowej błogości”.



JÓZEF HAŁAS

czne są akcja i działanie, natomiast spekulacja myślowa nie jest nawet fotogeniczna. Chyba że uznamy film za gatunek pośredni, służebny wobec literatury, czy wręcz filozofii. Wtedy możemy mieć żal do reżysera, że nie obchodzi go czego ten Witkacy tak naprawdę chciał. Możemy atakować filmowca za niewierność pisarzowi. Jednak gdy uznajemy niepodległość kina, to jedyną rzeczą, którą powinniśmy oceniać jest to, co przez półtorej godziny oglądamy w kinie. A to, jak rozumiałem Wernera przekonało i uwiódło (czemu akurat się dziwię). I dlatego nie powinien być tytułować swego tekstu „to nie jest kino!”. Z wykrzyknikiem jest trochę tak jak z wytaczaniem armat. Nie należy się spieszyć...

Wojciech Tomczyk

# sztuka

## Ankieta: Co się stało w sztuce lat osiemdziesiątych?

Co się zdarzyło w latach osiemdziesiątych? – Fakty zaistniałe w tym czasie i w tym miejscu były takie: *abcdefgh...z* Jakie...? Każdy wie. Czy każdy?

– Fakty, nazwiska, adresy –

**Donos:**

Żyjemy w ciekawych czasach –

żyjemy w Europie –

żyjemy w Polsce –

żyjemy mówią jedni,

wegetujemy mówią drudzy,

a tam gdzieś, w trzecim świecie czy w Azji,

umierają z głodu –

mówią inni.

Dla wielu to są odkrycia. Przypomnienie sobie po szoku i amnezji znaczenia słów. Stąd nadzieja. Doświadczenie zmieniające wartość i semantykę słowa. Doświadczenie z pozycji doświadczającego i doświadczanego jednocześnie.

**Dygresja:**

Sto lat temu, ściślej – w latach osiemdziesiątych, Louis Pasteur, który już w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku zastosował pasteryzację drobnoustrojów (co pozwoliło m. in. konserwować żywność), doprowadził do pierwszego szczepienia przeciw wściekliznie.

**Fakt i efekt.**

Fakty lat osiemdziesiątych teraz i w tym miejscu, na mojej klatce schodowej, w moim i nie moim domu, bloku, gdzie w piwnicy tydzień temu wywalilo szambo – doświadczenie zbiorowe. Ale ja nie mam piwnicy, a muszę to wachać. – Cóż! – Taki układ, takie miejsce i taka klatka.

Przyjdzie majster, da nura, naprawi. A potem przysznic.

Jeżeli, jeżeli, jeżeli będzie woda.

Sztuka lat osiemdziesiątych jest właśnie tym „jeżeli”. Jeżeli pełne poruszenie emocji, to i pełne wyciszenie: głucho wszędzie, głucho wszędzie. Dziura. Smród.

Doświadczenie niczym u Orwella – spektakl *Tamara* w teatrze „Studio”.

Jak ze Słowianina zrobić flegmatycznego Anglika?

Za ile? – pyta majster, robiąc „perskie oko”, i widać, że ma zajęte zatoki i nie czuje smrodu.

– Nie o to nam chodziło, nie o to, powiada spotkany na ulicy Jurek B. który organizował kiedyś wystawy w kościołach.

– Nie o to nam chodziło, nie o to, mówi pani krytyk, działająca w niezależnym obiegu.

Fakt, że nie o to nam chodziło, fakt, że były wystawy i występy w kościołach i pracowniach, fakt, że jest religia w szkołach, fakt, że Europa jest chrześcijańska a Azja nie jest, fakt, że Słowianie to chrześcijanie, chociaż nie wszyscy są katolikami.

Zamówiony u

i zrealizowany przez Krzysztofa Kiesłowskiego *Dekalog*, obrazy Wiesława Szamborskiego, a czasami i moje (albo ich brak), to wedle mnie, i z perspektywy mojej klatki schodowej, przypadkowo wybrane fakty z lat osiemdziesiątych.

Co się stało w sztuce lat osiemdziesiątych, nie wiem. Wszak dopiero teraz wielu z nas ma pełniejszą informację o prawdziwych-nieprawdziwych pięćdziesięciu latach wstecz. Więc jak już będę wiedział, to złożę raport donos: Żyjemy w ciekawych czasach – żyjemy w Europie – żyjemy w Polsce –

Niedawno w telewizorze pokazywano wybrak natury: zwierzę z Puszczy Kampinoskiej: głowa i tułów królika, uszy zająca, ogon lisa. Wybrak był w wersji biało-czarnej.

Marek Sapetto



MAREK SAPETTO

# recenzje

## Krzysztof Knittel

„Stanley Jordan Trio” i „European Jazz Ensemble” to dwa największe dla mnie wydarzenia na tegorocznym Jazz Jamboree, ale biorąc pod uwagę reakcję publiczności gwiazdą festiwalu został Stanley Jordan nagrodzony – wspólnie z dwoma innymi czarnymi muzykami: Charnttem Moffett (gitara basowa i kontrabas), oraz Kenwoodem Denard (perkusja) – gorącą owacją na stojąco.

z Manhattanu, który zaskoczył mnie nie tylko romantycznym liryzmem swoich tematów, ale i sentymentalnymi gestami podkreślającymi ten liryzm – dotychczas oglądałem czarnych muzyków raczej oszczędnych w gestach, a jeśli już, to poruszających się miękko i rytmicznie jak koty. Ten zaś džentelmen ubarwiał wizualnie swoją frazę rodem z Rossiniego jak Japończyk, których nie tak dawno widziałem

We free jazzie wolność jest zasadą twórczą, dlatego tak istotna jest tu wiedza muzyczna i odpowiedzialność za siebie samego w obrębie grupy i za całość brzmienia w zespole. (Nie tak dawno Henryk Waniek, rozmawiając ze mną, porównał grę w zespole do obrad Sejmu – zestawienie wypadło na korzyść orkiestry...) We free jazzie schemat podziału na tematy, solówki poszczególnych instrumentów oraz różne formy dialogowania nie odgrywają tak ważnej roli jak w innych stylach. Frazy melodyczne, rytmiczne, sekwencje harmoniczne odznaczają się dużą swobodą i są indywidualną wypowiedzią każdego z muzyków bez charakterystycznego dla innych kierunków jazzowych podziału na solo i akompaniament, bez swoistej unifikacji, podporządkowania estetycznego.

lidera nie uchroniły mnie od lekkiego ziewania w trakcie słuchania kolejnych standardowych kompozycji... „Anders Bergorantz Quintet” (Szwecja) – bez wrażenia. „Toots Thielemans Trio” (Belgia) – harmonijka ustna, fortepian, kontrabas; dobrze znane brzmienie harmonijki Thielemansa z aranżacji Quincy Jonesa i z „Ulicy Sezamkowej”; perfekcjonista – szkoda że pianista co pewien czas jakby walczył z mistrzem popisując się szybkimi acz płytkimi muzyczne mini-recitalami. „Leningrad Duo” (ZSRR) – muzyka trochę kabaretowa, cytaty hymnów (kontestacja polityczna?), dobrzy muzycy aczkolwiek od niedawna chyba uprawiający jazz; kompozycje daleko odbiegające od standardów, interesujące – publiczności ich koncert wyraźnie podobał się „Hermeto Pas-

# Stanley Jordan Trio i European Jazz Ensemble

Zaczną więc od krótkiego opisu gry Jordana – jedną gitarę elektryczną ma przewieszoną przez ramię i gra na niej lewą ręką swoisty akompaniament, najczęściej jest to typowe granie akordowe (jednak wyłącznie lewą ręką!), ale czasami dźwięki te przypominają syntetyczne brzmienie keyboardu albo riffowe wejścia sekcji instrumentów dętych. W tym czasie prawą ręką gra partie solowe na drugiej gitarze leżącej ukośnie na stojaku przed Jordanem. Sentymentalne frazy jakby wprost z weneckiej gondoli łączą się z melodycznymi improwizacjami bluesowymi, długie, prawie rockowe w charakterze repetycje motywów przechodzą w hiszpańskie flamenco; improwizacji tradycyjnie uznawanych za jazzowe jest niewiele, ale gdy się pojawią – jest to wirtuozeria jazzowa najwyższej próby, a swingowanie – tak delikatne i naturalne jak oddech. Trio zaczęło swój koncert od prostego utworu i równie nieskomplikowanych improwizacji, jedynie basista Moffett – który debiutował w wieku piętnastu lat w zespole Wyntona Marsalisa – rozpoczął z takim impetem funkowym, że dopiero po kilku minutach Jordan powrócił do roli lidera i spokojnie, z utworu na utwór zadziwiał swoim instrumentalnym kunsztem, coraz to nowymi pomysłami melodycznymi i nieschematyczną wyobraźnią. Z przyjemnością przyglądałem się szczerzej sylwetce i młodzieńczemu zachowaniu tego trzydziestodwuletniego jazzmana

w telewizji, ubarwiają Chopina. Wszyscy teraz wszystkich już naśladować odkąd Jacek Klejff zamienił się w Karaibę pohukującego na Kupałę. Wracając do „Stanley Jordan Trio” – rzadko używane w jazzie słowo „spirit” (a nie tradycyjne „soul”) wydaje się tu najbardziej na miejscu – była to prawdziwie uduchowiona muzyka, nowoczesny jazz silnie odróżniający się od prawie klasycznych, standardowych kompozycji pozostałych, występujących na festiwalu muzyków amerykańskich. Inną atrakcją, lecz przypuszczalnie tylko dla znawców, był międzynarodowy „European Jazz Ensemble”, w którym zagrało trzech muzyków z Niemiec (Manfred Schoof – tp, figh, Gerd Dudek – ss, ts, fl i Ali Haurand – b), Holender Rob van den Broeck na fortepianie oraz Anglik Tony Levin na perkusji. Dojrzałe, soczyste brzmienie zespołu, typowo europejski, miły memu uchu jazz z wieloma fragmentami free, wreszcie wysoki poziom techniczny w grze zespołowej i solowej, a na dodatek poczucie humoru w muzykowaniu, za które basista Ali Haurand otrzymał gorące okłaski od młodej widowni JJ. Free jazz jest od lat kultywowany przez najbardziej twórcze środowiska jazzowe w Europie. W muzyce free zlamana została tradycyjna ciągłość pulsu rytmicznego, a pojęcie swingowania przeniosło się częściowo ze sfery rytmicznej w rejon struktury dźwiękowych i związków, kojarzeń estetycznych wewnątrz samej improwizacji.

Cytując za programem JJ wypowiedź Hauranda: „Free nie jest jakąś zamkniętą kategorią, nie podlegającą rozwojowi i przemianom. Free oznacza wolność wprowadzania elementów innych stylów. My walczyliśmy o europejską tożsamość jazzu. Nasza muzyka to eurojazz.” Teraz pokrótce o innych zespołach, które wystąpiły na tegorocznym Jazz Jamboree. „Shirley Horn Trio” (USA) – fortepian, kontrabas i perkusja; muzyka delikatna i tajemnicza, trochę mroczna; miła, klubowa atmosfera – jako feministka popieram tym bardziej, że wcześniej Shirley uzyskała poparcie samego Milesa Davisa. „Martial Solal Trio” (Francja) – fortepian, skrzypce, kontrabas; odważna i twórcza postawa jazzmanów nie wahających się w swoich improwizacjach nawiązać do Schoenberga, Strawińskiego, a nawet Debussy’ego; mam słabość do Francuzów, ich win, sera i poczucia humoru. „Eddie Harris Quintet” (USA) – lider grający na saksofonie tenorowym i śpiewający od czasu do czasu jest świetnym muzykiem, jednak występ całego kwintetu pomimo wysokiej profesji wszystkich muzyków nie wywarł na mnie wrażenia; bardzo akademicki jazz. „McCoy Tyner Big Band” (USA) – wśród wielu bandów, które słyszałem ta orkiestra nie wyróżniła się niczym szczególnym, chociaż z powodzeniem może konkurować z innymi znanymi big-bandami amerykańskimi; ciekawe pomysły harmoniczne i atrakcyjne improwizacje fortepianowe

coal e Grupo” (Brazylia) – dużo dźwięków, dużo instrumentów, w gestwinie rytmów charakterystycznych dla południowej Ameryki i w wielości symultanicznych solówek trudno było odczytać tkankę kompozycji – tempo zawrotne a improwizacje średnie; przesadzili trochę akustyki, bo najbardziej szalona samba nie powinna być nagłaśniana jak koncert rockowy. Ponadto organizatorzy zafundowali słuchaczom cztery „programy specjalne” przygotowane przez polskich liderów – Jarosława Śmiecianę, Krzysztofa Popka („Young Power”), Bogdana Styczyńskiego i Janusza Muniaka. Żałuję, że nie słyszałem „Young Power”, bo dobiegły mnie pozytywne opinie o ich koncercie. W sumie na tegorocznym festiwalu dominowały popisy techniczne i wirtuozeria instrumentalistów, dlatego jeszcze raz chciałbym podkreślić wyjątkowość „European Jazz Ensemble” i tria Stanleya Jordana, a może trochę i „Martiala Solal”. Ich przemyślane kompozycje zdecydowanie różniły się od tradycyjnych form znanych z historii jazzu. Wszechstronność i wiedza niektórych jazzmanów pozwala im na przekraczanie granic standardów. Korzystają swobodnie z innych „szkół” muzycznych, kreują swoje utwory podążając w głąb i wszcz, bez obaw czerpiąc ze „studni kultury europejskiej” i z innych kultur. Z pożytkiem dla przysypiających nad standardami słuchaczy... ■

# Dla tych, co widzą

JOANNA KULMOWA, *Zgubione światelko*. Ilustrował Waldemar Andrzejewski. „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1990

Wiersze Joanny Kulmowej, formalnie przeznaczone dla dorosłych, znalazły swe podsumowanie w dwunastym z kolei, okazałym tomie *Wiersze wybrane 1954-1979*, wydanym przez „Czytelnik”. Można się domyślać, że jego dopełnieniem będzie zapowiadany przez Wydawnictwo „W Drodze” tom *Suplement mój*. Równocześnie w „Naszej Księgarni” ukazał się dwudziesty tom wierszy Kulmowej, formalnie przeznaczonych dla dzieci: *Zgubione światelko*. „Formalnie”, powiadam, bo w przypadku tej poetki podział jest nieomal umowny. Wiersze „dla dzieci” wydane są starannie – w tym wypadku wręcz szczerze, z bardzo trafnymi całostronicowymi barwnymi ilustracjami Waldemara Andrzejewskiego. Niektóre mają wprawdzie określonego adresata: zwracają się do dzieci z delikatną krytyką świata dorosłych. Ale nie trzeba być dzieckiem, żeby ze *Zgubionego światelka* czerpać satysfakcję.

Jest to poezja z pewnym przesłaniem, które można określić terminem „ekologiczne”. Kulmowa pisze o mieście, co pośród dymów, pyłów i brudów śni o tym, że jest gdzie indziej. Pisze o drzewach, które chcą uciec od miejskiej szarości. Pisze o trawie, porastającej cmentarzysko samochodów. Pisze o pryszcach i liszajach na murze, które, mimo swej brzydoty, rozkwitają w pro-

mieniach słońca. Pisze o zakurzonych oknach fabryk i o zaganianych i nieuważnych dorosłych, którzy zdeptują świat.

Za tym przesłaniem ekologicznym kryje się cały program estetyczny, wyrażony w serii opozycji w wierszu „Moje brzydkie i moje piękne”. Po stronie rzeczy brzydkich znalazły się tu na przykład „Sztwyne sztuczne kwiaty” albo „Torebeczka w szklance herbaty”. Po stronie pięknych – „Dach czerwony omszały” albo „Cienie drzew na chropowatej ścianie bloku”. Ogólnie zaś rzecz biorąc:

Wszystko żywe dawne wdzierające się na nowo w nowoczesną sztuczną jednakowość.

W tym programie estetycznym istotną rolę – pozytywną – odgrywają przedmioty, tradycyjnie zaliczane do sfery rzeczy brzydkich. „Trawa-wariatka” nie boi się brudu i podmiejskiej brzydoty. W dziurawym murze hałasują wróble. W kurzu nad podwórzem zachodzi słońce. Nad koszem, niczym mewy, wesoło wirują śmieci. Zacieki przy rynnach w słońcu przypominają „wąsy dzikiego wina”. Tytułowe „zgubione światelko” to spodek po dzemie, albo słoik po śledziach, który na śmietniku – „Okruchem słońca w oceanie brudów” – staje się w słońcu radością, wiosną, cudem.

W tej poezji światło niesie odkupienie. W jego promieniach ożywa nie dostrzegana na co dzień uroda miejskiej brzydoty. „Świat zapala światło dla tych co je widzą” – czytamy w wierszu „Dorośli”. Wiersze Joanny Kulmowej, te dla dorosłych i te dla dzieci, przeznaczone są również dla tych, którzy „nad przepaścią ulicy” umieją dostrzec „gniazdko synogarlicy”. Wiek nie gra tu większej roli.

Jan Zieliński

# Święci niewolnicy

WALERIJ SZEWCZUK, *Ptachy z newydymoho ostrowa*, „Dnipro” Kijów 1989

Walerija Szewczuka czytelnik zna dzięki tłumaczeniom na język polski: powieści *Dom na wzgórzu* oraz opowiadań z tomu *Wieczór świętej jesieni*. Bohaterami jego najnowszej powieści *Na poli smyrennomu* zamieszczonej w zbiorze *Ptachy z newydymoho ostrowa* są mnisi żyjący w klasztorze studytów – Ławrze Kijowsko-Pieczerskiej. Klasztorze, który dla swoich bogobojnych miesz-

kańców jest jedynym dostępnym światem. Tętniący życiem Kijów znajdujący się za murami Ławry, jawi im się jako wrogi świat chaosu, któremu przeciwstawiona jest uporządkowana rzeczywistość klasztoru. Świat pełen powabów i obietnic wydaje się nierealny – rzeczywista i jedyna staje się fikcja – pogrążony w ciemności świat mnisich pieczar.

Każdy z mnichów targany jest jednak namiętnościami i wątpliwościami. Ich sumieniem staje się pamięć o pozostawionej poza murami miłości, rodzinie i pamięć, która obnaża obłudę bądź słabość bohaterów. Umartwiający się ponad wszelki rozsądek mnisi marzą tylko o tym, aby wyrwać się spoza złowrogich murów i wejść na drogi prowadzące w nieznanne światy.

Podstawowym pytaniem, które zadaje Szewczuk jest pytanie o to, dlaczego zatem nie uciekają. Otóż okazuje się, że mnisi pełni nienawiści do skostniałego świata, którego są więźniami, nie mają siły i odwagi by to, co znane zastąpić tym, co wprawdzie wabi, ale co jednocześnie

przeraza swoją nieprzewidywalnością.

Świat Ławry nie jest w gruncie rzeczy światem doskonałego porządku lecz jest światem lęku, ludzkiej słabości, strachu przed odpowiedzialnością za własny los. W takim świecie konieczne staje się zabicie wszelkich ludzkich odruchów również u tych, którzy przychodzą z zewnątrz. Tylko w ten

sposób świat zniewolenia będzie jedyną, nie posiadającą swojej alternatywy rzeczywistością. Tylko w ten sposób bohaterowie *Na poli smyrennomu* mogą mieć pewność, że niewola jest wolnością, a odrzucenie wielobarwności życia – jego istotą.

W takim świecie wolność jest szalenstwem i dlatego szalony jest wielkolud-olbrzym uciekający z klasztoru. Szewczuk kreśli wizję świata orwellowskiego, którego pesymistyczny determinizm łagodzi postać brata Semena, którego pomimo pokajania, wzywa „zielone słońce wśród nieba”.

Bogumiła Berdychowska



MICHAŁ WITUSZYŃSKI

# premiery

TEATR im. SŁOWACKIEGO w Krakowie:  
William Szekspir *Burza*. Reżyseria Jerzy Goliński, scenografia  
Paweł Dobrzycki, muzyka Marek Wilczyński.  
Premiera: 27 października 1990

Nowa dyrekcja artystyczna Teatru im. Słowackiego w Krakowie, na swą inaugurację wybrała szekspirowską *Burzę*, ostatnio znów modną w świecie teatru – w Paryżu z jej inscenizacją wystąpił właśnie Peter Brook. Przeprowadzany równolegle remont kapitalny budynku narzucił krakowskiemu realizatorom konieczność eksperymentowania z przestrzenią. Nieczynna widownia została odgradzona żelazną kurtyną. Niczym w dworskim teatrze francuskim publiczność znalazła się wprost na scenie, w bezpośrednim zasięgu toczącej się akcji, dzieląc z aktorami miejsce gry.

Ten najbardziej intrygujący spośród dramatów Szekspira starano się odczytać na wiele sposobów. Postrzegano wpisany w fabułę scenariusz inicjacyjny obrzędów tajnych stowarzyszeń

# Burza

## czyli ostatnia pokusa utopii

(próby Ferdynanda, kuszenie Sebastiana, doświadczenie śmierci i cudowne ocalenie rozbitków). Zwracano uwagę na liczne odniesienia kabalistyczne (wywodzący się z tej tradycji Ariel, powracający motyw dwunastki i liczb przez nią podzielnych: dwanaście lat wygnania Prospera, uwięzienie Ariela, tytułowa burza rozpętująca się w południe, a więc o godzinie dwunastej, cztery godziny akcji). Niektórzy widzieli w *Burzy* utopijną powiastkę filozoficzną (wyspa Prospera jako miejsce realizacji pewnego eksperymentu moralnego), inni znów poetycką przypowieść odwołującą się do symboliki astrologicznej (Prospero stwierdza między innymi: „A moja wiedza rzeczy, co przyjąć mają/Odkryła mi, że gwiazda co mi sprzyja/Dochodzi do zenitu”). Sam tekst Szekspira wyraźnie sugeruje kolisty bieg wypadków i ich okresową powtarzalność na podobieństwo cykli astronomicznych. W krakowskim przedstawieniu jednak wszystko zmierza raczej ku swemu ostatecznemu wypełnieniu, zgodnie z logiką nieubłaganego przemijania kolejnych konceptów na urządzenie świata i ich ambitnych realizatorów (między innymi całkowitemu zatarciu uległa wspomniana rachuba czasu i związana z nią symbolika liczb). Z zawartych w literackim pierwowzorze możliwości interpretacyjnych zdecydowano się wyeksponować jego stronę fantastyczną oraz pierwiastki ludyczne (karnawałowy wątek błażeńskich królów: Stefana i Trynkula).

Jerzy Goliński, jak przystało na uniwersalnego autora teatralnego, wystąpił w poczwórnej roli: nowego dyrektora, tłumacza, reżysera i odtwórcy głównej postaci – Prospera, gdyż dzieło Szekspira można też traktować jako dyskurs o naturze teatru, w którym wyspa Prospera stanowi metaforę scenicznej iluzji, a on sam uosabia kreacyjną moc inscenizatora. Prosper-Goliński wykorzystuje zatem okazję wynikającą z opisanych wcześniej niezwykle trudnych warunków przedstawienia i uruchamia wokół widza maszynę dziewiętnastowiecznego teatru: zapadnie, z których wynurza się dziki Kaliban, rynnny do wywoływania złudzenia grzmotów, maszyny imitujące wiatr. Podkreśla umowność uzyskiwanych w ten sposób efektów, a co za tym idzie całego świata przedstawionego (zgodnie z opinią Prospera, że jest on tylko ulotnym przewidzeniem, zaledwie grą pobudzonej wyobraźni). Przy tym wszystkim spektakl stanowi zarazem rodzaj osobistej zadumy artysty nad czasem spędzonym w tym właśnie teatrze. Stąd zapewne nawiązania stylistyczne do dawniejszych przedstawień, zrealizowanych przez Golińskiego na tej scenie (na przykład mitologiczna maska przypomina nieco sceny intermedyjne z granej pod koniec lat sześćdziesiątych *Złotej czaszki* Słowackiego).

Obecna inscenizacja *Burzy* oparta jest głównie na grze zespołowej. Wyróżniający się w rolach charakterystycznych: Andrzej Grabowski (Stefano), Tadeusz Kwinta (Trynkulo) i Krzysztof Jędrysek (Kaliban), cały czas poruszają się na granicy aktorskiej brawury i dobrego smaku. Niebezpiecznie zbliżają się do niej niektóre rozwiązania sytuacyjne. Z kolei Ariel w wykonaniu Urszuli Popiel, jak przystało na geniusza teatru w remoncie, odziany w granatowy kombinezon, bardziej przypomina Meyerholdowskiego robotnika sceny, podchodzącego do swej roli jako precyzyjnego zadania technicznego, niż twór romantycznej wyobraźni.

Podsumowując: lepiej dzieje się na scenie przy placu św. Ducha, ale jeszcze niezupełnie dobrze.

Lesław Czapliski

14 TYGODNIK  
LITERACKI

Całe lata namawiano teatr do angażowania się w sprawy ważne, aktualne, żądano by się „włączył”, „popierał”, „uczestniczył”, „propagował”, by stawał na pierwszej linii frontu (ideologicznego), oczywiście na określonych, jedynie słusznych pozycjach. Gdy zwalniano go z tych obowiązków – mimo wszystko

## Głosuj na Wścieklicę!

postulowano by nie uciekał w sferę abstrakcji czy czystej sztuki, lecz zajmował się naszym „tu i teraz”. Jeden z naszych teatrów dramatycznych, na skutek przypadkowych zbiegów okoliczności (repertuar na następny sezon planuje się wczesną wiosną) wpadł w sam środek walki przedwyborczej wystawiając *Jana Macieja Karola Wścieklicę* Witkacego. I teraz wygląda na to, że część naszego „tu i teraz” wcale sobie nie życzy, by teatr się w nie angażował.

W dniach, kiedy w „Wiadomościach” niemal co wieczór pojawiała się bardziej lub mniej znana osoba, by oświadczyć, iż zdecydowała się kandydować na urząd prezydenta, wystąpił z takim oświadczeniem również niejaki Wiesław Cichy. Dopiero po chwili wyjaśniło się, że to tak zwany zwiastun premiery *Wścieklicy* w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Po dwóch dniach dziennikarka „Tygodnika Solidarność” oznajmiła prezesowi Drawiczowi, iż to niesmaczne, aluzyjne itd. Zabawa zapowiadała się więc znakomita i pojechałam na premierę, w sobotę, 13 października.

Opole to wcale nie takie wielkie miasto. Przyjeżdżny, wyszedłszy z dworca, jeżeli nie wsiada do taksówki i nie korzysta ze stojącego opodal hotelu „Opole”, trafia prosto na deptak, ciągnący się przez całą starą część miasta, przez plac Wolności, Rynek, aż do katedry. W słoneczne południe deptak był obstawiony jarmarcznymi kramami, urzędowali sprzedawcy orzeszków i czekolady, ryczały magnetofony na straganach z kasetami. Nad tym wszystkim zgodnie wisiały transparenty: WAŁĘSA NA PRZYZYDENTA oraz GŁOSUJ CIE NA WŚCIEKLICĘ – TEATR 13 X.

Ekspedientka w księgarni słuchała radia – w programie lokalnym nadawano właśnie monolog Wścieklicy, reporter zachęcał do przyścia na premierę obiecując liczne atrakcje. Do teatru dotarłam równocześnie z telegramem: „Teatr. Opole. Pl. Teatralny. Jan Maciej Karol Wścieklica. Jesteśmy z tobą – stolica.” (Później, w Warszawie, nikt z przyjaciół teatru nie przyznał się do autorstwa).

Teatr w Opolu jest duży, hol niczym Dworzec Centralny – ta sama wielkość i wdzięk. Po szóstej powoli do niego przenosi się jarmark z deptaka: sprzedawca baloników, stragany z napojami, jest nawet rożen z kiełbaskami. Nie brak też galerii rysunków Grzegorza Pawlaka (w przerwie odbędzie się ich aukcja) i zespołu heavy-metalowego. Cały teatr jest obwieszony transparentami, pod budynkiem gromadzi się młodzież – trzyma tablice z hasłami: GŁOSUJ NA WŚCIEKLICĘ, WŚCIEKLICA NASZYM PREZYDENTEM, POMPIERAMY PROGRAM CHAMSKIEJ MORALNOŚCI. Sponsor premiery, właściciel firmy Juvenpol (poważny człowiek w ciemnozielonym garniturze o dyskretnym połysku,

w ręku charakterystyczna walizeczka z sztyrowym zamkiem), ogromnie przejęty, rozdaje chorągiewki z podobizną Wścieklicy i rozrzuca ulotki reklamujące z jednej strony – siebie (specjalność firmy: usługi geodezyjne, stolarskie i elektryczne, wypożyczalnia video, kursy tańca), z drugiej, w formie banknotu – Wścieklicę. Wreszcie gdy zjawia się telewizja a widzowie-wieczowicze są już lekko schrypnięci – zajężdża pod teatr biały mercedes, z którego w towarzystwie dwóch goryli wysiada Wścieklica w stroju góralskim. Telewizja świeci, radio nagrywa, młodzież wznosi okrzyki a zespół gra bardzo głośno (ale nie śpiewa, jak było w planie „witaj nam przyzdecie”, bo zgubił nuty).

zna się, przynajmniej z widzenia, w trakcie przerw kwitnie życie towarzyskie, trochę inne są reakcje, okłaskuje się inne pointy, inne dowcipy. Część publiczności bawiła się dobrze i w foyer i na przedstawieniu, część chodziła zde gustowana uważając, iż nie wypada z teatru robić jarmarku. Szczególnie łatwo tak spojrzeć z perspektywy dużego miasta, stwierdzając z wyniosłą miną „co też ci prowincjusze wyrabiają, czym też się bawią”. Ale ja w sporym towarzystwie bawiłam się znakomicie, uważając, iż w naszych mało dla kultury przychylonych czasach każde ożywienie dające ludziom trochę niesztampowej i dowcipnej zabawy, jest



W holu koledzy Wścieklicy zbierają na formularzach podpisy popierające jego kandydaturę. Wśród wznoszonych okrzyków i hasel, gorączkowego wymieniania plotek i informacji zaczyna się przedstawienie.

Podczas antraktów Wścieklica dalej prowadzi kampanię wyborczą wśród widzów, młodzież wznosi okrzyki propagandowe, pod nogami tłumy pętają się dzieci występujące w trzecim akcie.

Publiczność premierowa w każdym mieście różni się od tej codziennej. Większość widzówi

pożyteczne. Teatr musi zabiegać o zainteresowanie i uważam, że to wcale nie jest zły sposób.

Na bankiecie: autorka felietonu przedpremierowego w „Wiadomościach” otrzymała za ten materiał nagrodę.

Dzień po premierze: sama głosi, że młodzież nie mogąc dostać biletów na przedstawienie włamała się do kasy i ukradła książki biletowe.

Dwa dni po premierze: szef katowickiego ośrodka TV wstrzymał emisję materiału z premiery.

Magdalena Raszewska

ZBIGNIEW RASZEWSKI, *Trudny rebus. Studia i szkice z historii teatru*. Wrocław 1990

Działo się to w stanie wojennym w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie. Na pożegnalnym wykładzie naszego roku profesor Raszewski mówił o komisarzu Maigret. Morderca gubi guzik na miejscu zbrodni, przy guziku zostaje nitka z jego płaszczka. Po tej nitce Maigret trafia do kłębka: rekonstruuje tkaninę, określa jej rodzaj i wartość, ustala społeczną pozycję mordercy, zawęży krąg podejrzanych. I wreszcie wie. Logiczne myślenie i dedukcja – proste i stare jak świat, a przecież tak rzadkie, miało być dla nas wskazówką na przyszłość. W tym sensie Profesor był zawsze tradycjonalistą. Śledztwo pozostało jego ulubioną metodą badawczą.

Dlatego studia i szkice z historii teatru zebrane w *Trudnym rebusie* (ale także wszystkie inne tego autora) czyta się jednym tchem, jak kryminał. Zadziwia logika i ścisłość wyводу, niemal matematyczna precyzja wypowiedzi. Metoda niepopularna, szanująca solidną informację, wymagająca aktywności czytelnika, ale bardzo otwarta: Profesor pamięta, że my nie pamiętamy, dlatego ustala podstawowe fakty z myślą także o laiku, który weźmie książkę do ręki. To połączenie zawsze mnie zastanawiało – ogromne wymagania wobec siebie przy maksymalnej prostocie wykładu doceniającej każdego słuchacza.

W szkicach impulsy dla poszukiwań płyną bądź z samego dzieła, jak w przypadku *Aktora*, gdzie z tekstu sztuki można wysnuć podejrzenie, że Norwid sportretował sławnego tragika, bądź z zewnątrz – relacje współczesnych i okoliczności powstania *Tamtego* naprowadzają na ślad kontaktów Zapolskiej z oficerami rosyjskimi, którzy stali się pierwowzorami postaci dramatu. Źródła bywają przeróżne: punktem wyjścia do rozważań o teatrze Stanisławowskiem są pamiętniki małych chłopców, synów kurlandzkiego księcia Birona bywającego całą rodziną w warszawskim teatrze; pamiętniki Elsnera i analiza obrazu Bacciarellego pozwalają

ustalić kim rzeczywiście była sportretowana kobieta, listy Słowackiego do matki ujawniają jego niefortunną przygodę z teatrem amatorskim. Ale nigdy, zgodnie z zasadami śledztwa, nie ufa się jednej relacji – zawsze jest konfrontowana ze stanem dotychczasowej wiedzy o epoce, teatrze, osobie, z innymi źródłami.

Rozwiązanie rebusu zawdzięczamy więc przede wszystkim erudycji autora ze swobodą poruszającego się w obrębie całej kultury. Jest to erudycja szczególnego rodzaju: odnosi się wrażenie, że Profesor – jak każdy

## Wokół trudnego rebusu

dobry pisarz – zna osobiście swych bohaterów, a nawet pozostaje z nimi w zażyłych stosunkach. Na wykładach trudno było nie ulec złudzeniu, że widział prapremierę *Wesela* albo rozmawiał z Modrzejewską. Znajomość epoki równoznaczna jest ze znajomością obyczaju, panujących konwencji a przez to wrażliwości jaką mogła posiadać teatralna publiczność. Z tak bliska widzi się lepiej i inaczej niż inni. Dlatego nie dziwnego, że choć wielu czytało *Aktora* właśnie Profesora zdziwił wzrost Pszonk-kina: „»niewielki wzrost? U sławnego tragika? W tamtych czasach? Musi to coś znaczyć”. I rzeczywiście: domysł, że idzie o Dawisona daje się udowodnić. Krok po kroku okazuje się, że tropów jest całkiem

sporo: ten sam repertuar obu aktorów, ich znaczenie w świecie, dowodem jest nawet zaniechanie wystawienia sztuki przez teatr lwowski.

Efekty śledztwa bywają porażające nawet dla specjalistów. Artykuł o *Aktorze* jest tu dobrym przykładem. Na kilku stronach doprowadza on do rewolucyjnych wniosków dotyczących całej dramaturgicznej twórczości Norwida. Bagatela. A przy tej okazji mini-portret Dawisona, wielkiego tragika, który z konieczności staje się niemieckim aktorem, zmuszony do tego przez polskie środowisko: mini-portret XIX-wiecznego antysemityzmu.

Śledztwo zapoczątkowuje zawsze szczegół, zaledwie okruż informacji, niejasne przekonanie. Wnioski mają potężny wymiar, choć czasem dają się zawrzeć w jednym zdaniu, za to tak ważnym, że może stać się cezurą w dziejach teatru, jak w artykule o Słowackim: „Poeci tamtych czasów chętnie wstępowali na scenę, ale dla zabawy. (...) »Artystyczny« teatr amatorski wznowili naturalności.”

Wyznaczanie cezury jest tematem pierwszej części *Trudnego rebusu* próbującej usystematyzować dotychczasową wiedzę. Ze znakomitej znajomości rzeczy, którą obserwowaliśmy w szkicach, narodziła się potrzeba znalezienia wyższych, porządkujących kategorii. To już podręcznik dla detektywów, filozofia śledztwa. Autor *Krótkiej historii teatru polskiego* po raz pierwszy – bo „Uwagi o stosowaniu cezury w historii teatru” nie były dotąd drukowane – odsłania tajniki warsztatu.

Świat historii teatru tak konsekwentnie zhierarchizowany, ma siłę bajki – wydaje się cudownym obszarem, gdzie każda rzecz ma swoje jedyne i niepowtarzalne miejsce. Jest światem, za którym tęsknimy.

Kiedy myślę o latach osiemdziesiątych, o powszechnym wówczas braku nadziei, myślę również o Profesorze wyruszającym punktualnie za dziesięć trzecia do gmachu szkoły, uparcie wnoszącym tam wewnętrzny ład i hierarchię zjawisk – to, czego tak nam brakowało. Historii teatru zawdzięczaliśmy wówczas bardzo wiele.

Kalina Zalewska

## Shirley Valentine

TEATR Powszechny w Warszawie, Willy Russell, *Shirley Valentine*. Reżyseria Maciej Wojtyszko, scenografia Ewa Bystarczyńska.  
Premiera 3 XI 1990.

Ogromne napięcie towarzyszy wejściu aktora na scenę, zwłaszcza gdy pozostaje na niej sam wobec publiczności. W tym pierwszym momencie jego kunszt jest najlepiej widoczny: przekona nas albo nie. W taki sposób poznajemy Shirley Valentine – kręcącą się po scenicznej kuchni, w jaskrawym dresie i sztucznej burzy włosów. Powoli zaczynamy jej wierzyć – Janda staje się dojrzałą panią domu, zbyt często popijającą wino. Myślę, że ostatecznie przekonuje nas, kiedy siada przy stole, uśmiecha się i po raz pierwszy sobie nalewa.

Shirley Valentine jest tak zwaną zwyczajną kobietą. Godząc się na rolę żony i matki staje się ofiarą najprościej pojętego egoizmu rodziny, traktowana jak automat do wykonywania domowych obowiązków. Nuda, samotność i brak pomysłu na dalsze życie powracają w jej opowieści. Odwieczna depresja czterdziestolatki: odwrotu już nie ma, a marzeń o szczęściu nie udało się zrealizować. Znaczną część winy przerzuca się wówczas na współpartnera, toteż duch męża unosi się nad sceną. Nieprzeciętność Shirley polega na tym, że znajduje wyjście z tej sytuacji, potrafi ją odwrócić.

Zwyczajne, banalne, czasem na granicy pospolitości – a publiczność chłonie każde słowo. Zawdzięczamy to przede wszystkim aktorce – temat współczesny jest jej żywiołem nie tylko w kinie. Wcześniejsza *Edukacja Rity* Willy Russella, a zwłaszcza sceniczna wersja *Białej bluzki* Osieckiej dowodzą, że również w teatrze chce mówić o dniu dzisiejszym, poszukując repertuaru nieraz za wszelką cenę. Można tylko żałować, że z konieczności prawie zawsze są to obce teksty. Ale jest coś szczególnego w tym przedstawieniu poza tym, że od pierwszej chwili aktorka ma świetny kontakt z publicznością i trzyma nas w napięciu do końca, mimo słabszych w drugiej części spektaklu partii tekstu i paru potknięć pamięciowych.

Na scenie stworzono iluzję rzeczywistości: prawdziwa kuchenka elektryczna, kran, z którego leci woda, wino w butelce. Poza umowną, bardzo teatralną sytuacją monodramu. Każdy z tych elementów zostaje w dodatku ograny: nie dość, że aktorka obiera ziemniaki i smaży jajka na prawdziwej patelni, to również odkręca kurek i nalewa wody do wazonu. Strach pomyśleć, ale może i w lodówce coś się zamraza. Scenografia znosząca teatralną umowność ma stworzyć jak najlepsze warunki dla zaistnienia tego typu bohaterki. Czyżby kompleksy wobec kina? Czy teatr zaczyna z powrotem upominać się o niską sztukę, którą kino zaanektowało przed laty? Na razie wiadomo, że nie dało za wygraną: powstał film na podstawie tekstu Russella. Ale nie zmienia to faktu, że publiczność jest pochłonięta sceniczną opowieścią. Istnieje widocznie zapotrzebowanie na taki teatr. Popularny, bo dotyczący wszystkich, mówiący o problemach egzystencjonalnych na ich najbardziej elementarnym poziomie. Na temat polityki (bliskowschodniej) tylko się tu żartuje, co odczuwamy z ulgą w dobie toczącej się nawet w teatralnym foyer kampanii wyborczej. A Shirley Valentine wydaje się idealnie uniwersalną bohaterką współczesną. Może taką jaką w dziewiętnastowiecznej Europie była Adrianna Lecouvreur ze sztuki wieloobsadowej, ale popisowej jednocześnie? Najlepsze aktorki miały ją w swoim repertuarze – występując w teatrach Europy znajdowały poklask dla swego talentu i zrozumienie dla problematyki, którą mimo wszystkich różnic społecznych i politycznych odczuwano wszędzie tak samo. Może Shirley Valentine jest bohaterką przyszłej Zjednoczonej Europy? Naszym wkładem byłyby wówczas aktorki Teatru Powszechnego.

Kalina Zalewska

### Konkurs „Czasu Kultury”

Redakcja „Czasu Kultury” ogłasza konkurs literacki na małą formę prozatorską (której objętość nie powinna przekraczać 15 stron znormalizowanego maszynopisu). Nigdzie nie publikowane prace prozatorskie (w trzech egzemplarzach) opatrzone godłem należy nadsyłać do dnia 31 grudnia b.r. (decyduje data stempla pocztowego) na adres:

60-161 Poznań 47, skr. poczt. 15

Do tekstów literackich należy dołączyć zaklejoną kopertę opatrzoną godłem zawierającą imię i nazwisko oraz adres autora. Redakcja zastrzega sobie prawo publikacji prac nie nagrodzonych

NAGRODA GŁÓWNA wynosi 1 MLN ZŁOTYCH

Siedzę w stróżówce Banque Nationale de Paris. Wysoko nade mną przelatują pasażerskie odrzutowce przysiadujące się do lądowania na Orly. W na wpół odsuniętej szufladzie służbowego biurka trzymam książkę Rolanda Barthesa *Sade, Loyola, Fourier*. Nie przypadkiem ją właśnie wybrałem do stróżówki. Jako filolog polski (były filolog polski, można by powiedzieć lub filolog polski na samowynianiu) potrzebuję tuż jakieś formy kompensacji. Czegoś co pomogłoby mi znieść moją nie najgorszą w końcu sytuację. Nie najgorszą, gdyż zarabiam w aktualnym przeliczeniu około siedmiu milionów złotych miesięcznie – tyle bowiem wynosi S.M.I.C. czyli ustawowo zagwarantowana miesięczna płaca minimalna. Pieniądze te pozwalają mi wynajmować mieszkanie a także żywić moją żonę i siebie zdrowymi befsztykami wołowymi oraz niewyszukanymi i stosunkowo tanimi owocami takimi jak: ana-

kwatności krytycznych rozważań wobec ich obiektu (tekstu o którym się pisze), Barthes potrafił wykorzystać jako maskę, instrument umożliwiający mu bez skrępowania mówić o sobie. Taką funkcję pełni jego książka *Fragments d'un discours amoureux*, będąca słownikiem rytuałów miłosnych, czy raczej zachowań z dziedziny, którą Barthes arbitralnie za miłość uznał. Dla opisanie tej szczególnej interpretacji miłości Barthes skonstruował formę wyrażającą jego osobiste gusty i uprzedzenia erotyczne poprzez odpowiedni dobór fragmentów najbardziej znanych tekstów światowej literatury miłosnej. Książką o nim samym czy raczej mającą służyć jemu samemu, jest także *Sade, Loyola, Fourier*. Łączy ona trzy różne z pozoru postaci: pisarza libertyna, zakonnika i politycznego idealistę we wspólną kategorię autorów tekstów, będących według Barthesa owocem twórczego obłąkania i porządkowanych

Cezary Michalski

## W paryskiej stróżówce

nasy, pomarańcze, banany i brzoskwinie. A jednak moja sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Dlaczego? Otóż w PRLu skąd wyjechałem byłem magistrem filologii polskiej, należałem do kasty uprzywilejowanych, do kapłanów liturgicznego języka w jakim odprawiała się narodowa tradycja, do pięciuset tysięcy, dzięki którym z naszych księgarń zniknęły największe nawet nakłady dzieł literatury pięknej. Jednym słowem dzięki memu tytułowi byłem w PRLu inteligentem. Można by jeszcze dodać, że z historycznego punktu widzenia przynależność do inteligencji zdobyła w PRLu rangę nieporównanie wyższą niż niegdysiejsze szlachectwo. Dawna szlachta poza tytułem posiadała nieraz także majątki, dysponowała wolnością gwarantowaną między innymi przez swój stan posiadania. PRLowska i post PRLowska inteligencja poza tytułem nie posiadała nic. Tym cenniejszy stał się dla przeciętnego inteligenta sam fakt kastowej przynależności.

Moja praca w stróżówce jest deklamacją. Mało ważne, że łatwo opakować ją w figury wzięte z polskiej czy rosyjskiej Wielkiej Literatury Emigracyjnej. Z paryskiej perspektywy powoływanie się na Europę Wschodnią, a już szczególnie na jej literaturę emigracyjną, nie przedstawia żadnej wartości kompensacyjnej. Nie tak dawno dowiedziałem się od pewnej studentki, że Gombrowicz jest Czechem a Kundera odkryciem literackim radzieckiej pieriestrojki. Hélas! (niestety), dla przeciętnego tubylca (a w końcu to on ustala hierarchie społeczne, w zasięgu których się znalazłem) Wschód, oprócz bycia przestrzenią onirycznych podróży, co jest jeszcze najmniej szkodliwym rozwiązaniem, może być już tylko miejscem realizowania utopijnych projektów społecznych, źródłem mistycznego światła którym ostatnio rozblisła lysiejaca czaszka kolejnego sowieckiego genseka.

Tak czy inaczej idąc za biblijną maksymą „każdemu co mu się należy...”, ewentualnie „pozволь umartylm grzebać swoich zmarłych” postanowiłem mój instrument kompensacji wykroić z zachodniego, arcyzachodniego materiału jakim jest literaturoznawcza twórczość Rolanda Barthesa. Aby zrozumieć kim był Roland Barthes dla kultury francuskiej należałoby po pierwsze przeczytać książkę Władimira Wołkowa *Montaż*. Autor opisuje w niej postać nazwaną przez siebie „agent d'influence”, wpływająca osobistostwo, która – przynajmniej przez jakiś czas – decyduje o kierunku rozwoju danej kultury, oddziela kic od klasyki, to co pożądane od tego co niedopuszczalne, która innymi słowy interpretuje, zabudowuje abstrakcyjną kategorię Dobrego Smaku. Wybrałem akurat twórczość Barthesa ponieważ zwróciło moją uwagę natężenie literackości jakim cechują się te poświęcone literaturze teksty. Rozprawianie się z „przesadami” polegającymi na próbach odnalezienia prostych zależności pomiędzy słowem, nawet słowem poetyckim, a światem, oraz obciążenia owego słowa jakakolwiek „odpowiedzialnością”, są w stanie wprowadzić w ekstatyczny trans niejednego wychowanego w atmosferze „odpowiedzialności za słowo” młodego polonistę. Rozmaite deklaracje Barthesa, jak na przykład ta z książki *Sade, Loyola, Fourier* mówiąca że: „Słowo w wypowiedzi naukowej odsyła nas do kontekstu pozatekstowego, podczas gdy słowo poetyckie ma nas od niego wyzwolić”, muszą pozostać bez odpowiedzi – można jedynie poddać się stosowanej ze swobodą przez ich autora perswazyjnej retoryce.

Nieporównanie ważniejszy od siły przekonywania jest jednak dla mnie osobisty i kompensacyjny właśnie charakter tekstów Barthesa. Po pierwsze, pisanie o literaturze jest dla niego substytutem pisania literatury, na co był, jak sam twierdził, „zarazem za silny (będąc świadomym wszystkich możliwych konwencji literackich) i za słaby (by o swojej wiedzy zapomnieć)”. Pisarstwo krytyczne i teoretycznoliterackie, poddane zwykle rygorowi przybliżonej choćby ade-

przez tematyczne natręctwa oraz obsesyjne enumeracje. Najwyraźniejszy trop kompensacji można znaleźć w tym fragmencie książki, w którym Barthes charakteryzuje strukturę kreowanych w powieściach Sade'a społeczności libertynów. Na owe społeczności składają się zwykle dwie bardzo rygorystycznie rozdzielone „klasy”: klasa uprzywilejowanych libertynów i klasa ich ofiar. Jakże są jednak kryteria owego podziału skoro w rozmaitych układach seksualnych organizujących „la société libertine” Mistrzowie tak samo jak ich ofiary bywają, jak pisze Barthes, „zarówno sodomizującymi jak i sodomizowanymi”. Aby lepiej zrozumieć barthesowską metaforykę zastąpmy egzotyczne dla naszego ucha słowo „sodomizować” swojskim czasownikiem „pierdolić”, zwracając przy tym uwagę na jego przenośne użycie w języku potocznym, gdzie „pierdolić kogoś” lub „być przez kogoś pierdolonym”, ewentualnie „o-pierdalanym”, ma nie tylko konotację seksualną lecz sugeruje także istnienie pewnej hierarchii społecznych zależności. O coż zatem chodzi Barthesowi? O to jedynie, że każdy nawet najwyżej w owej społecznej hierarchii osadzony osobnik może zostać w odpowiednio zmienionej sytuacji sprowadzony do roli ofiary. Coż jednak wyróżnia w takim razie Mistrzów libertynów spośród grona ich ofiar? Zdaniem Barthesa wyróżnikiem Mistrzów jest to jedynie, że podczas gdy ich ofiary są „nieme”, oni dysponują językiem, który pozwala im „mówić” cały czas, bez względu na ich aktualny status społeczny, niezależnie od tego czy są akurat podmiotami czy obiektami „sodomizowania”.

Interpretacja jaką Barthes narzuca tekstem Sade'a, niespecjalnie przejmując się tym, że markiz uczynił ofiary a nie mistrzów narratorami większości swoich powieści, jest w gruncie rzeczy przejawem ideologii logokratycznej, przyznającej wyróżnione miejsce w społeczeństwie twórcom i dysponentom języka, do których sam Roland Barthes jako wpływały krytyk i teoretyk literatury się zaliczał. Czego dowodzi wyrażone w sposób tak jednoznaczny pragnienie wywyższenia się? No odważy! Aby odpowiedzieć na to pytanie nie trzeba znać teorii Adlera. To proste. Nieopanowane pragnienie wywyższenia się świadczy o pragnieniu zabicia w sobie dojmującego poczucia poniżenia. Barthes poniżony? Czyżby więc także tu na Zachodzie nieprzeciętny nawet humanista czuł się wobec fizyka, informatyka, właściciela sklepu czy policjanta tak podle i bezsensownie, że musi uciekać się do sztuki nadinterpretacji? Cóż to za balsam dla mojej udręczonej duszy. Nie muszę już dłużej szukać pocieszenia. Zatem fakt że dwóch moich kolegów z PRLowskiej jeszcze filologii polskiej zdradziło ją na rzecz matematyki, podczas gdy trzeci po prostu zajął się murarką (plus moja stróżówka) nie był jedynie objawem ich niezrównoważenia. Ambiitni licealiści, którzy wiosną 1981 roku wybrali studia polonistyczne (pod wpływem Nobla dla Miłosza oraz pojawienia się pierwszej „Solidarności” której działacze mówili językiem nowofalowych poematów Barańczaka) wpadając w pułapkę logokratycznych pokus nie stali się ofiarą jakiejś lokalnej manifestacji absurdu (to byłoby zbyt straszne). Ich (nasza) życiowa porażka była wynikiem działania obiektywnych praw rozwojowych kultury europejskiej. A ja sam? W przeciwieństwie do moich zmienników ze stróżówki, będących w trzecim lub w czwartym pokoleniu przedstawicielami cechu paryskich gardienów, nie władam może z wystarczającą swobodą językiem francuskim. Dzięki filologicznemu wykształceniu potrafię jednak, posługując się nadinterpretacją tekstu Barthesa, wypowiedzieć egzystencjalne doświadczenie mego stróżowania, umieścić absurdalny z pozoru status stróża-polonisty w racjonalnym porządku uczestnictwa w ogólnoeuropejskim kryzysie formacji humanistycznej. Czy czuję się z tym lepiej? Jeszcze jak. Jutro przyniosę ze sobą do stróżówki *Der Untergang des Abendlandes* Oswalda Spenglera.



Arystokracja z ducha to pojęcie typowo angielskie. W kraju, gdzie panuje prawo primogenitury, gdzie tytuły arystokratyczne dziedziczy tylko jeden członek rodu, reszta – jego bracia i siostry – są arystokracją z ducha. Są nią dzięki ekskluzywnym szkołom i elitarnym uniwersytetom. O tym wpływowym środowisku – absolwentach Oxfordu, Cambridge, London School of Economics (LSE) napisał monograficzną pracę lord Noel Annan. Omówienie książki *Our Age. Portrait of a Generation (Nasz wiek. Portret pokolenia)* pióra R. Skidelsky'ego ukazało się na łamach „New Statesman” (5X1990) pod chwytliwym tytułem *Wesolowie z Oxfordu i szpiegi z Cambridge*. Annan zajął się losami generacji kończącej uniwersytety między 1919 i 1950 rokiem. Ludzie ci to z reguły mężczyźni, wychowankowie ekskluzywnych szkół prywatnych, obierający kariery naukowe bądź publiczne. To oni kształtowali mentalność swych czasów, to oni byli wyrocznią w kwestiach myśli humanistycznej, polityki, mody, sztuki. Póki nie przyszedli nowi.

Każda dekada miała jednak inny styl, w każdej dominowały inne zainteresowania, wzory zachowań. Lata dwudzieste były beztronne i wesole, lata trzydzieste – rozpolitykowane, czterdzieste – surowe.

Jaka jest geneza „Our Age”? Historyczna. Pierwsza wojna zburzyła bowiem wiarę w idealnego gentelmana, absolwenta szkoły prywatnej. Okazał się on zbyt męski, lojalny, pozabawiony wyobraźni i zbyt głupi, by być gotowym na II wojnę światową, by przeżyć dobrze czas pomiędzy wojnami. Studenci

## Bohaterowie swoich czasów

po wojnie poczuli się wyalienowani, nie chcieli powtarzać edwardiańskiego modelu, przeszli przez fascynację modernizmem, kolektywizmem, pacyfizmem. Ogarnął ich także kult homoseksualizmu, szczególnie modnego wśród oxfordzkich dowcipniśców w latach dwudziestych i agentów komunistycznych z Cambridge w trzydziestych. Słynny dandyś Maurice Bowra nazywał te formacje Immoral Front (parodia Popular Front, unii komunistów z socjalistami) i Homintern, czego już nie trzeba tłumaczyć.

Edwardianie sprzed I wojny mieli jeszcze purytańskie poczucie obowiązku wobec siebie i społeczeństwa, dziedziczyli wiktoriańskie nawyki, wzbogacając je o postwiktoriańską wrażliwość. Tymczasem młodzi z „Our Age” porzucili wszelkie nawyki i normy. Nowa generacja chciała się bawić i być zabawiana. Taka frywolność i zupełny brak powagi nie sprzyjały karierom i sukcesom. To wyjaśnia, czemu tak wielu wybitnych młodych ludzi osiągnęło tak mało w porównaniu z poprzednikami. Opinia Annana o Cyrilu Connolly, który „żył pośród rozkoszy, na które nie zasłużył” – pasuje do wielu innych. Sam Evelyn Vaugh, geniusz lat dwudziestych, potrzebował wsparcia św. Augustyna, by nie zwariować i nie zapisać się na śmierć.

Keynes, który w 1925 był zaproszony do Rosji, po powrocie wystawił następującą diagnozę: „Trudno wykształconemu, przyzwoitemu, inteligentnemu synowi Zachodniej Europy odnaleźć tu siebie, chyba że przeżył już wcześniej ów dziwny i potworny proces nawrócenia, który spowodował weni zmianę wszelkich wartości”. Straszny proces, o którym mówi Keynes, rozpoczął się w duszach wielu młodych naukowców z Cambridge w późnych latach dwudziestych, karmiony i podsycany przez modne nateraz totalitarne fantazje. Grupa ta w latach trzydziestych rzuciła się na marksizm i komunizm, terminy wtedy całkowicie wymienne. W czasie wojny hiszpańskiej tysiąc na osiem tysięcy studentów należało do partii komunistycznej. Polityczne wybory szły w parze z nową obyczajowością, neopurytaniem.

Skąd ta masowa konwersja na marksizm? Otóż trzeba pamiętać, że wiktoriański świat pojęć moralnych nie aprobował kapitalizmu, był mu z zasady wrogi. Nie mieściło się w tym światopoglądzie gładkie połączenie wzorów dobrego, godnego życia z chciwością i pożądaniem dóbr materialnych i pieniądza. Programem edwardiańskiej awangardy było głośnie wyrażanie wrogości do idei kapitalizmu. Niemniej pozornie sprzeczny układ trwał – przekonania moralne sobie, a przemysł i biznes sobie. Do czasu. Kryzys religijny i kryzys w przemyśle zakłóciły delikatny układ i umożliwiły komunizmowi uplasowanie się niejako zastępczo w miejsce religii. Komunizm, wyjaśniający najtrudniejsze procesy społeczne „naukowo”, za pomocą pojęcia postępu, mógł być, i dla intelektualistów przez pewien czas był, cudowną mieszkanką wiary, nadziei i kuszącej perspektywy władzy.

W latach czterdziestych wiara w komunizm osłabła, ale nie wiara w nauki społeczne. W czasie II wojny światowej i rządów Labour Party do władzy doszli naukowcy reprezentujący nauki ścisłe, integrując się jako ostatnia silna grupa „Our Age”. Była to grupa pod każdym względem średnia – średnio zintegrowana, średnio tolerancyjna, średnio zabawowa, zainspirowana Keynesem, Beveridgem i Tawney'em raczej niż Marksem. Członkowie tej grupy byli uczonymi, politykami, wysokimi urzędnikami; byli planistami i architektami nowej demokracji społecznej Wielkiej Brytanii, której kres przyniosły dopiero lata osiemdziesiąte w postaci tatcherizmu.

Czemu poszli w odstawkę? Lord Annan nie odpowiada na to pytanie i chyba ma do tego prawo. Faktem jest, że opisywana przezeń generacja zakończyła swój okres ekspansji w poczuciu klęski i zadziwienia. Skidelsky natomiast uważa, że porażką generacji jest, iż postrzegala siebie jako intelektualistów, a skończyła jako nomenklaturę. Pewne jest, że lata osiemdziesiąte są początkiem nowej generacji. I choć ideały poprzedniej wyczerpały się, trzeba przyznać, że miała swój dobry okres, a teraz doczekała się dobrej kroniki.

opr. Hanna Baltyn

Krzysztof Rutkowski

artykuł niepolityczny

# Niedźwiedź i ropucha

Maurice Nadeau i Françoise Verny opublikowali pamiętniki. We Francji poruszenie. I słusznie. Przez blisko osiemdziesięcioletniego pana z siwym wąsem, którego zawsze mylono z Queneau (wyglądali jak bliźnięta), nazwiska Bartelesa, Lowry'ego, Pereca, Sciasci, Millera, Szalamowa, Durella i Gombrowicza nie byłyby we Francji znane przez dziesięciolecia. Nadeau, niedźwiedź i zrzęda, szara eminencja zachwyty nad cudzą wielkością, redaktor prestiżowego „Quinzaine Littéraire”, pisma które nie płaci honorariów ładniej niż „Zeszyty Literackie”, zatytułował swą książkę skromnie: *Grâces leur soient rendues* (wyd. Albin Michel), co wypada spolszczyć jako: „I niech im będą dzięki”.

Françoise Verny, superropucha, potrafiąca, jak Serge Ginsbourg, zrobić z własnej pielęgnowanej szpetoty hodowanej starannie w stylu rabelaisowskim przez fachowców od reklamy – z wielkiego brzucha, nalanej twarzy, alkoholu i z paczki gitonów bez filtra – coś w rodzaju atrakcyjnej wizytówki; akuszerka pisarskich bestsellerów, ugniataczka fotogenicznych pisarzy (np. André Glucksmanna, Bernarda Henri-Lévy'ego, de Closetsa, Queffleca i Jardina) na gwiazdy telewizyjne, zerkające niekiedy przenikliwym wzrokiem ze szpalt kobiecych magazynów; a nawet maczająca pióro w scenariuszu do śpiewogry *Kartonowa walizka* o losach portugalskiej piosenkarki Lindy de Suza, wzruszającej publikę repertuarem w stylu Steni Kozłowskiej. Verny nazwała swe pamiętniki podchwytliwie: na lśniącej białej okładce błyszczące litery układają się w tytuł: *Le plus beau métier du monde* – „Najpiękniejszy zawód świata” (wyd. Olivier Orban), z czytelną aluzją do innego, lecz równie godnego szacunku zajęcia.

Nadeau i Verny od ćwierćwiecza kształtują „kulturę książkową” we Francji. Łączy ich wspólna pasja, dzieli wszystko, chociaż... Kiedy Nadeau wielbił Trockiego, to Verny, po École Normale Sup., wstąpiła do Francuskiej Partii Komunistycznej, by z wiarą w sercu wciskać drobnym *bourgeois* świeżutkie płachty „Humanité” przy stacji metra Villiers. 6 marca 1953 roku, gdy umarł Ojciec Narodów, strumień łez biednej pasjonarii zraszał omlot z pieczarkami usmażony przez Gastona Bachelarda. Verny stała się gorącą katoliczką i wziętą dziennikarką, między innymi w „La Vie catholique illustrée” ora w „L'Echo de la mode”. W końcu nie ma się czego wstydić.

Maurice Nadeau, autor *Historii surrealizmu*, rozluźnił swe więzi z Bretonem, a nawet pozwalał sobie na kaśliwe uwagi o obnaszanej teatralności państwa B., zasiadających kabaretowo przy stoliku w *Deux Magots*. Breton odciął się skutecznie w roku 1949, kiedy wybuchł skandal z nieznanym rękopisem Rimbauda. Nadeau w roku 1949 obwieścił triumfalnie w „Combat” odkrycie *La Chasse spirituelle*. Falfifikat zmontowany na kacu przez grupkę aktorów prowincjonalnych. Breton nie uległ, chociaż jedyny jego argument brzmiał następująco: Rimbaud nigdy się nie powtarzał.

Miło czytać, jak Nadeau spiera się z Christianem

Bourgeois, kto odkrył Gombrowicza dla Francuzów, chociaż i tak wiadomo, że zrobił to Jeleński. Tym sympatyczniej, że Nadeau publikuje nieznane listy Witolda, na przykład ocenę uprawianą przez Nadeau profesji: „Krytyka literacka jest rzeczą prawdziwie diabelską (...) Ale wielka uczciwość duchowa nadaje Pańskiemu satanicznemu zajęciu smak niewinności”. Gombrowicz potrafił dbać o swe interesy.

Maurice Nadeau twierdzi, że to on ze swych autorów wszystkich: „Henri Michaux, który mnie pewnego dnia objechał zdrowo, Witoldzie Gombrowiczu, któryś mnie tak serdecznie nienawidził, wielkie wam dzięki. Dla was istniałem, i przez was. (...) Nigdy nie chciałem przekraczać progę. Czasami byłem agresywny, ale niczym strażnik świątyni,



NADEAU

JACEK GAWŁOWSKI

w obronie sprawy, która przerasta nas wszystkich”

Pasja i biznes. Biznes i pasja. Nieskończona wirówka służbowych śniadań i kolacyjek, galera koktajlów wyślizganych przymilnymi spojrzeciami, uśmiezków przyklejonych do kretyńskich szklaneczek i rączek lepkich od zgniecionych orzeszków. Przemieszane to wszystko jak należy. Szare eminencje książki we Francji wychodzą z cienia. Z odpowiednią porcją recenzji i fotografii w najważniejszych dziennikach. Ważny jest *savoir-faire*, ale trzeba też *faire-savoir*. Pamiętniki niedźwiedzia i ropuchy muszą się sprzedać. Wydawcy wydawców nie chcą być stratni i pewno nie będą.

## ZESZYTY LITERACKIE Nr 31 (LATO 1990)



W numerze: PROZA I POEZJA: ZBIGNIEW HERBERT, Gerard Terborch. Dyskretny urok mieszczaństwa; JULIA HARTWIG, JERZY KRONHOLD, ADAM ZAGAJEWSKI: Wiersze. PREZENTACJE: HANNA KIRCHNER, Nieznany utwór Janusza Korczaka; JANUSZ KORCZAK, Dzieci Biblii. Mojżesz; CHARLES SIMIC, Trzydzieści próz poetyckich. LISTY Z PARYŻA: WOJCIECH KARPINSKI, Van Gogh – „taszkota za krajem obrazów”. SYLWETKI: KAZIMIERZ BRANDYS, Ulica Vancau. SPOJRZENIA: MARIA DANILEWICZ-ZIELIŃSKA, Inna droga do domu na Lincoln's Inn Fields w Londynie. ROZMOWY: STANISŁAW BEREŚ, Trzeba o tym mówić. Rozmowa z prof. DANIELEM BEAUVOIS. O KSIĄŻKACH: TADEUSZ NYCZEK, Czarne litery na ciemnym tle; JAN ZIELIŃSKI, Wiersze Rydza-Śmigłego; BARBARA SOLA, Inna liryka. NOTATKI, KRONIKA, Z LISTÓW DO REDAKCJI, OD REDAKCJI, INFORMACJA, NOWE PUBLIKACJE, NOTY O AUTORACH, RESUME, ZESZYTY LITERACKIE 1-30: Wykaz publikacji. Wszelkich informacji na temat prenumeraty na drugie półrocze 1990 r. oraz warunków sprzedaży udziela:

AGORA Sp. z o.o., Warszawa, ul. Iwicka 19, tel. 41 66 55



Uprzejmie prosimy o zamieszczenie naszego protestu w sprawie projektu rozdziału środków finansowych uzyskiwanych od prywatnych sponsorów, ogłoszonego przez Panią Minister Izabellę Cywińską.

Z poważaniem  
 Dyrektor Naczelny i Artystyczny  
 Grzegorz Mrówczyński

Poniżej publikujemy list Gustawa Herlinga-Grudzińskiego skierowany do prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Andrzeja Brauna.

Do Prezesa SPP

Szanowny Panie,

piszę w sprawie, która wymaga interwencji SPP. Ukazał się w Warszawie nakładem Res Publik pierwszy tom mojego dziennika, a w Paryżu nakładem Instytutu Literackiego czwarty. Z recenzji w *Gazecie Krakowskiej* dowiaduję się, że równocześnie czwarty tom rzuciło na rynek (prawdopodobnie metodą fotokopijną) nieznanne mi wydawnictwo krakowskie Kosmos, bez zgody autora i paryskiego wydawcy, posiadacza *copyrightu*. W czasach „drugiego obiegu” wydanie w Kraju książki bez wiedzy i zgody autora emigracyjnego nie budziło z jego strony żadnych sprzeciwów (na odwrót), jakkolwiek nie mógł czasem nie narzekać łagodnie i z wyrozumiałością, że nie zaszkodziłoby przemycenie na Zachód choć jednego egzemplarza autorskiego. Dziś sytuacja się zmieniła. Czy nie uważa Pan, że SPP – którego jestem członkiem – powinno przeciwdziałać tej korsarskiej procedurze, która narusza interesy autora w wydawnictwie normalnym? W moim wypadku chodzi o to, że kiedy legalnie ukaże się w Warszawie czwarty tom dziennika, będzie już istniał od dość dawna na rynku w wydaniu owego Kosmosu.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Gustaw Herling-Grudziński

Niestety, mimo wielu podjętych wysiłków agentom SPP nie udało się odszukać w Krakowie wydawnictwa „Kosmos”. Przetę podajemy rzecz do publicznej wiadomości gwoździem na ścianie pirackich praktyk.

### Konkurs „Czasu Kultury”

Redakcja „Czasu Kultury” ogłasza konkurs na cykl wierszy (nie więcej niż pięć utworów). Nigdzie nie publikowane prace (w trzech egzemplarzach) opatrzone godłem, należy nadsyłać do dnia 15 XII b.r. (decyduje data stempla pocztowego) na adres:

60-161 Poznań 47, skr. poczt. 15

Do tekstów literackich należy dołączyć zaklejoną kopertę opatrzoną godłem zawierającą imię i nazwisko oraz adres autora. Redakcja zastrzega sobie prawo publikacji prac nie nagrodzonych.

NAGRODA GŁÓWNA wynosi  
500 000 ZŁOTYCH

Wielce Szanowna Pani Minister!  
 Zarząd Fundacji „Naród Sobie” związanej z Teatrem Polskim w Poznaniu pragnie na Pani ręce wyrazić głęboką niepokój spowodowany założeniem, tytułem eksperymentu, Fundacji przy Ministerstwie Kultury i Sztuki na rzecz której nielimitowane dotacje objęte byłyby stu procentową ulgą podatkową.

Uważamy, że taki centralnie sterowany precedens jest sprzeczny z demokratycznymi przemianami w kraju i z zasadniczymi przekształceniami gospodarczymi, w których demopolizacja i pobudzanie do samodzielności lokalnych społeczności jest główną wartością i celem.

Co mają, na przykład, zrobić businessmeni i poważne zakłady pracy, które przystąpiły do lokalnej Fundacji „Naród Sobie” nie mając w perspektywie szans na podobną ulgę podatkową.

Uważamy, że należy jak najszybciej ponownie rozpatrzyć kwestię ulg podatkowych dla sponsorów na rzecz kultury i sztuki tak, aby każdemu się to opłacało, w każdym regionie Polski, i aby ofiarodawca sam mógł decydować, jaki cel wspiera – bez pomocy urzędników.

Z przykrością protestujemy przeciwko Pani projektowi.

Łączymy wyrazy głębokiego szacunku  
 Zarząd Fundacji „Naród Sobie”  
 Prof. dr hab. Lech Trzeciakowski – przewodniczący  
 Marek Kirschke – wiceprzewodniczący  
 Adam Gługiewicz – sekretarz  
 Barbara Kantorska – skarbnik  
 Maciej Andrzejewski  
 Grzegorz Mrówczyński  
 o.o. Waclaw Osajca

do wiadomości:

1. Prezydent m. Poznania  
dr hab. Wojciech Szczęsny Kaczmarek
2. Wojewoda Poznański
3. Wiceminister Finansów  
dr Wojciech Misiąg

### Prenumerata „Tygodnika Literackiego”

Cena prenumeraty krajowej „Tygodnika Literackiego” kwartalnie (13 numerów) – 32500 zł, zagranicznej kwartalnie – \$19,5, półrocznie – \$39, rocznie – \$78 lub równoważność w walucie lokalnej (wysyłka pocztą lotniczą).  
 Możliwa jest również prenumerata mniejszej ilości numerów z zaznaczeniem, od którego numeru została dokonana wpłata.  
 Cena pojedynczego egz. w prenumeracie wynosi 2500 zł lub \$1,5.  
 Wpłaty prosimy kierować na konto:

„CAMELOT” spółka z o.o.  
 PBK III Oddział Warszawa  
 370015-971241-136  
 Informacji udziela  
 „CAMELOT” Warszawa, ul. Rakowiecka  
 4; tel. 48-38-09

# ŚMIGŁO NEWS

27 X w klubie „Błaszak” w Ciechanowie grupa Arthaos przywiodła publiczność do placu performancem pt. „Konfuzja”. ■ W końcu października Sąd Wojewódzki w Gdańsku zarejestrował Klub Inicjatyw Społecznych. Programowo jest on bliski SKA. Trzon nowej organizacji stanowią ludzie z Gdańskiej Alternatywy. ■ 2 XI nastąpiło zapowiadane wcześniej przez władze miasta Gdańska przekazanie pomieszczeń na niezależny klub (patrz poprzednie „śn”). ■ 5 XI odbyła się przed Politechniką Gdańską Panachyda – uroczystość żałobna kościoła wschodniego. Zdarzenie było połączeniem dwóch akcji: „park-ing” i „uwaga cmentarz”. Tereny po obu stronach Alei Zwycięstwa były dużym cmentarzem, gdzie chowano przeważnie Niemców, ale i Rosjan, Żydów i Gdańszczan (groby nawet z XVII w.). Cmentarze te, jako poniemieckie, zaorano pod koniec lat sześćdziesiątych, a z potłuczonych nagrobków pobudowano pożyteczne murki. Uczestnicy panachydy domagali się także przekształcenia Alei Zwycięstwa w park, którego Gdańskowi serdecznie brakuje (oj, w tym tysiącleciu to już niemożliwe). Zdarzenie firmowały grupy skupione wokół Gdańskiej Alternatywy. ■ Od 11 XI w Gdańsku trwa głódówka pod WKU 2 i pikietą pod koszarami WP we Wrzeszczu. Postulaty: skrócenie służby zastępczej, podniesienie płac odbywającym służbę zastępczą i neutralność Polski. Nadto we Wrzeszczu głoduje matka poborowego, który nie otrzymał odroczenia zasadniczej służby wojsko-

wej. ■ W telewizji gdańskiej trwa montaż kasety video live z koncertu grup Apteka, Bielizna, Call system, Kanada i Totart. Sponsoruje Info Service. Dwa tysiące kaset do kupienia przed gwiazdką. ■ W środę 7 XI w Galerii SOS przy Szkolnym Ośrodku Socjoterapii w Warszawie otwarto wystawę szablonów. Powiszą tydzień. ■ Wrocławska grupa „W te i wew te” wydała przy współpracy pisma „Wolny Wrocław” kasetę. Pytać w klubie „Studnia” (dawny Indeks). ■ 31 X uczestnicy Ruchu Radykalnego z Inowrocławia mówili o sobie i swojej działalności w audycji emitowanej przez bydgoską rozgłośnię Polskiego Radia. ■ „Tygodnik Ciechanowski” (2 listopada 1990, str. 3) opublikował zdjęcie ściany z napisem: „Jude is death”, i opatrzył je takim komentarzem: „Głupota smarowania na murach dotarła również do Ciechanowa. A jeśli jest to jeszcze głupota polityczna...” Nasz słownik określanie palenia Żydów głupotą polityczną, nazywa etycznym zespołem Downa (nie obrażając Mongołów). ■ Stowarzyszenie Kultury Alternatywnej w Toruniu wywołało sporą burzę występując przeciwko konieczności opłacania etatowych pracowników kultury przez społecznych organizatorów imprez. Miasto zarządziło przydzielenie etatów dla SKA. ■ W WDK w Toruniu utworzono dział kultury alternatywnej (pomieszczenie, sprzęt). Na koniec listopada zapowiadany jest koncert sceny toruńskiej, mają zagrać m.in. Karcer, Baader-Meinhof.

Szanowni Państwo!  
 najstarsze, niezależne katolickie  
 pismo społeczno-kulturalne  
 TYGODNIK Powszechny

do nabycia w najdogodniejszej formie prenumeraty na I kwartał 1991 roku. Cena prenumeraty prowadzonej przez administrację „TP” obejmująca także koszt wysyłki pocztowej wynosi w I kwartale 1991 roku – 32 500zł. Zaprenumerowany w ten sposób „Tygodnik” otrzymacie Państwo bezpośrednio do domu. Wpłaty prosimy dokonywać na blankietach PKO na adres: „Tygodnik Powszechny” 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, konto 35510-24572-136. Termin wpłat upływa 20 listopada 1990 roku.

### RADIO SOLIDARNOŚĆ UKF 73,2 MHz

- stacja warszawska
- program 24 godziny na dobę
- telefon do studia: 635-88-88
- Biuro Reklamy i Ogłoszeń: ul. Konwiktorska 7, 00-216 Warszawa telefon: 635-80-36, 635-92-93

Niezależnie od prenumeraty z wysyłką pocztową prowadzonej przez administrację „TP”. „Tygodnik” zaprenumerować można za pośrednictwem RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Cena zamówionej w „Ruchu” prenumeraty z odbiorem w kioskach lub innych punktach kolportażu „Ruchu” wynosi w I kwartale 1991 roku – 23 400 zł. Wpłaty przyjmowane są przez terenowe oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” na podstawie realizowanych na poczcie przekazów pieniężnych na blankietach wpłaty. W miejscowościach, gdzie nie ma takich oddziałów, wpłaty można dokonać w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

„Tygodnik Powszechny” można także zaprenumerować dla odbiorców zagranicznych. Wpłaty na prenumeratę zagraniczną przyjmowane są na adres „Tygodnika Powszechnego” 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, konto: Bank PKO S.A. O/Kraków nr 5.35078-7000339-136-11; 1110. Cena 1 „Tygodnika” wynosi 1 USD. Cena: ta obejmuje wysyłkę pocztową zwykłą. Dopłata za wysyłkę pocztą lotniczą wynosi: Europa – 12; Ameryka, Afryka, Azja – 24 USD; Australia i Oceania – 36 USD. Prenumeratę można rozpocząć od dowolnego miesiąca roku.

## TYGODNIK LITERACKI

niezależne pismo poświęcone sprawom kultury

AREOPAG: Jan Błotki, Gustaw Herling-Grudziński, Artur Międzyrzecki, Ryszard Przybylski, Jan Józef Szczepański.  
 ZESPÓŁ: Marta Bratkowska, Waldemar Chodkowski, Melania Dzieduszycka, Waldemar Gaspot (zastępca redaktora naczelnego), Rafał Grupiński, Dorota Jarecka, Rajmund Kalicki, Marek Karpinski, Tadeusz Komendant, Jacek Królak, Tomasz Królak (sekretarz redakcji), Jacek Łukasiewicz, Janusz Maciejewski (redaktor naczelny), Łukasz Malachowski (sekretarz redakcji), Piotr Matywiecki, Grzegorz Muśiał, Agnieszka Piwowarska, Paweł Rodak, Iwona Smolka (zastępca redaktora naczelnego), Piotr Sołgner, Jan Stachowski, Marjan Stala, Robert Tekiel (zastępca redaktora naczelnego), Wojciech Tomczyk, Małgorzata Wierzbicka, Wanda Zwinogrodzka.  
 WSPÓŁPRACOWNICY: Marcin Baran, Bogumiła Berdychowska, Marek Bińczyk, Grzegorz Filip, Tomasz Jastrun, Krzysztof Koehler, Marta Makowiecka, Piotr Mitzner, Tadeusz Nyczek, Agnieszka Pawłowska, Małgorzata Kruszczyńska, Jacek Rujna, Krzysztof Rutkowski, Konrad Tatarowski.  
 Przegląd Archeologiczny Metafizyki Społecznej „Śmigło” redaguje Zbigniew Sajnog.  
 Redaktor graficzny: Donat Czarwicki. Korekta: Krystyna Okoniewska, Wojciech Sempka.  
 Wydawca: FUNDACJA NA RZECZ WYDAWANIA TYGODNIKA LITERACKIEGO.  
 Skład: „Printext”, Warszawa, ul. Kutnowska 10. Druk ZG „Dom Słowa Polskiego” Warszawa.  
 Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.  
 Adres redakcji: 00-538 Warszawa, ul. Wilcza 1/21, tel. 21-12-79

TYGODNIK  
 LITERACKI 19

Nie wolno dobrze malować zła... Denerwował mnie zawsze diabeł u Milтона, który przemawia bohaterskim, jambicznym 10-zgłoskowcem! Powinien raczej bełkotać...

Wtorek 18 września.

Tracy żołnierze zjedli już 3/4 zwierząt z kuwejskiego zoo, poinformowało w sobotę Światowe Towarzystwo Ochrony Zwierząt.

Idę pogwizdując.

– A więc to nie wystarczy, że melodia jest we mnie i że ja jestem w sobie; muszę się sobie jeszcze jakoś ukazać na zewnątrz... Człowiek, *antropos*, jest tym, który wybiega *ana-*, „poza”.

Środa

Krokiety z kapustą u Basi P. Przyszła też Natalia Gorbaniewska. Rozmawiamy luźno o tym i owym. „Nie istnieje moralne prawo państwowe, moralni mogą być tylko żywi ludzie”, powiada Gorbaniewska. „Jak pani ocenia siłę islamu w Związku Radzieckim?”, pytam. „Pan zdaje się wierzy w dzieje powszechne jako historię zmagania religijnych?” „Tak”. „No cóż, prawosławie jest u nas dziś słabe, a komunizm...” „Komunizm naukowy to ostatnia wielka herezja chrześcijańska, coś w rodzaju waldensów czy albigenów, tak twierdzi Kuroń w *Winię i wierze*, wtrąca Basia. „Wolałbym, żeby Jan Paweł II nie jeździł w tym swoim papamobilu...” zmieniam temat. „Maciek, tylko bez prowokacji”. „Papież jest następcą Chrystusa na ziemi, a gdyby się Chrystus bronił przed ukrzyżowaniem, to nie byłoby dziś żadnego chrześcijaństwa”. „Problemem nie jest zło – błyska okularami Gorbaniewska – czort eto czort i wsiakij znajet, w czom dieło... Nastojaszczaja probliema eto zło dobra... Drugie dno szczęścia i miłości: to, że z dobrem tak łatwo jest przedobrzyć...”

Czwartek

To nie człowiek jest niemoralny, to byt jest niemoralny.

Malowane w gwiazdy sklepienie rajskie podpierają dwie kolumny, Drzewo Życia oraz Drzewo Poznania Dobra i Zła. Kto ustanowił w świecie zło: Bóg? Diabeł? „Ja stwarzam światło i stwarzam ciemności, sprawiam pomyślność i niedołę”, przyznaje się w Księdze Izajasza Bóg Jahwe (45,7). Szatan nie istnieje. Nasz Bóg jest sam dobry i zły. Dokładnie tak jak człowiek, stworzony na obraz i podobieństwo Stworzyciela.

„...I nie wódź nas na pokuszenie”, modlimy się co dzień. No właśnie... Gdyż Kusicielem, Wężem, jest chyba Jahwe w masce.

Człowiek posiada wolną wolę, co to znaczy? Grzesząc myślą, nie uczynkiem, tak czy owak grzeszę, a czyniąc się między dobrem i złem w przestrzeni mojej wewnętrznej wolności – lecz bez tego wahania i próbowania niemożliwy byłby rzeczywisty wybór. „Wątpienie jest cechą wewnętrzną samego procesu myślenia...” píše Kierkegaard w *Albo-Albo*.

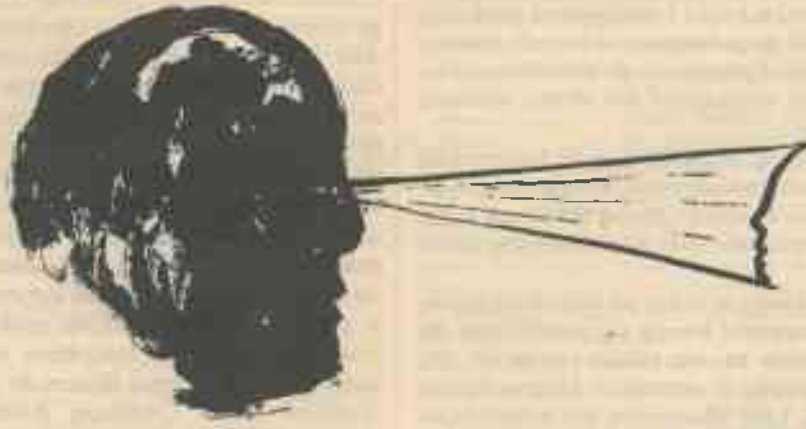
Opatrzność skazała człowieka na Upadek, wyposażając go po prostu w wolną wolę...

★

Tłumacz przekłada z mowy na mowę; poeta – z niemowy na mowę... Wittgenstein napisał w *Traktacie logiczno-filozoficznym*, że „Cokolwiek da się pomyśleć, da się jasno pomyśleć. Co da się wypowiedzieć, da się wypowiedzieć jasno. (...) O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć” (4.116; 7) ...To wszystko jest oczywiście nieprawda, gdyż między milczeniem i słowem istnieją różne pół-słówka, nieświadome i świadome głu-

pstwa i przede wszystkim jest myślenie boczne, zwane twórczym, które błądzi... Tak jak sama ewolucja błądzi, krocząc bez jasnego planu.

...A jeszcze i to, że język nie jest wydestylowanym logosem, bo jest też narzędziem, mięśniem, którym przyrastamy do świata pozaludzkiego, do ciemnej mowy żywiołów, zwierząt, roślin, do szumu wiatru i do języków płomieni...



TOMASZ SIKORSKI

Piątek

O świcie wzgórek Anki, potem już dzień z górki... Bezwstydna i zakonna!

Sobota

Odwiedzam A.B. w szpitalu na Bródnie. Rozmawiamy w wąskim holu koło windy. Wtem pielęgniarka przywożą ławetę z trupem zawiniętym w papier. Mięso, bez sentymentów... W dwóch miejscach przewiązane sznurkiem.

„Bóg śmierci nie uczynił”, powiada biblijna Księga Mądrości (1,13). Ale wobec tego kto ją uczynił? Bo jeszcze przed Upadkiem ludzie i zwierzęta musieli się na przykład w raju odżywiać, a to znaczy zabijać – nawet jeśli tylko rośliny. „Oto wam daję rośliny przynoszące ziarno (...) i drzewa, których owoce mają w sobie nasienie: dla was będą one pokarmem”, rzecze Bóg Jahwe do Adama i Ewy (Genезis 1,29).

Rozwiązanie szuka zagadki, odpowiedź – swego prawdziwszego pytania.

...Kto myśli, że raz na zawsze znalazł, i układa się wygodnie do opalania w promieniach Łaski – ten gubi.

Co to znaczy „panować nad sobą”: znaczy to, że w człowieku jest jakiś „pan” i „sługa”, przy czym „pan” jest lepszy. Instynktownie aspirujemy do roli (rasy) „panów”. Chrześcijanie wysuwają „ostatnich” przed „pierwszych”, ale to się nie zaznaczyło dobrze w języku. W wyrażeniu „usłuż sobie” zawarta jest niegodna dwuznaczność (...jak na przykład u Słowackiego, w poemacie o beznogim Sowińskim, co wytrwał na posterunku, podczas gdy „Adiutanty (...) fircyki./Że byli na zdrowych nogach (...)/usłużyli sobie (w potrzebie – tymi nogami”).

23 września, niedziela

Okropnie płacze kocica za oknami. Kocica musi się drzeć, ponieważ członek kota ma kostny szkielet i w dodatku jest pokryty na końcu rogowymi wypustkami.

...Remy de Gourmont, *Fizjologia miłości*:

„Dajakowie na Borneo przebijali sobie koniec członka kołkiem zakończonym z obydwu stron miotełkami z włosia. Kobiety przed oddaniem się oznaczały

zwykle za pomocą pewnych wybiegów (tradycyjnych gestów) długość szczoteczki, jakiej sobie życzyły (...) Na Jawie podobne urządzenie, zwane „ampallangiem”, bywa zastępowane futerałem z koźlej skóry. (...) W innych krajach mężczyźni inkrustują sobie żołądź małymi krzemkami, całkowicie ją w ten sposób deformując(...)”.

★

Spacer z Anią (moją starszą córką). „Tato, jesteś zbyt wybredny w doborze przyjaciół. Tolerujesz tylko tych, z którymi możesz sobie ciekawie porozmawiać”. „No ale dlaczego miałbym rozmawiać nieciekawie?” „Traktujesz ludzi instrumentalnie”. „Każdy każdego i sam siebie traktuje instrumentalnie... Wcale mi to nie wystarcza, że istnieję na ziemi, chcę



TOMASZ SIKORSKI

jeszcze przez siebie coś osiągnąć, po ludzku czy po literacku... Chcę przerosnąć siebie! „Być” znaczy „rosnąć”, mówi o tym stary wyraz „bylina”, który oznaczał kiedyś każdą „roślinę”. „A miłość?” „Mężczyzna kocha kobietę najpierw dlatego, że jest kobietą, a dopiero potem, że jest człowiekiem... Odwrotną kolejność społeczeństwo potępiłoby jako homoseksualizm”.

Wsiadamy do tramwaju 22. Na podłodze w poprzek śpi pijany chłopak (może narkoman?). Rozsunęła mu się na piersiach koszula i wychynał tatuaż: „AMORE DOLCE VITA”. – oj to to, dolce wita – wzdycha ktoś, przestępując rozrzucone nogi zawalidrogi.

W Galerii Fotografików na Starym Mieście.

Wystawa zdjęć Wiesława Zielińskiego z Muzeum w Oświęcimiu, z Birkenau i Treblinki, pod nazwą *Pozostał tylko popiół*. Malownicze zachody słońca nad drutami, niezwykle ujęcia ramp, wystudiowane wieżyczki strażnicze, kolorowe kwiaty w krematorium. Pornografia!..

25 września – 14 października

NOTATKI Z WYPADU POETYCKO-ZAROBKOWEGO DO WINNIC W ŚRODKOWEJ NADRENI.

Przełot Warszawa–Frankfurt. Odrutowiec wspina się na wysokość 10 kilometrów. Krawędź kosmosu. Niebo – prawie granatowe. W dzień wypatrywałem gwiazd.

Deidesheim. Mieszkamy w śmiesznym domku z wieżą, takim maleńkim, że można by go ująć w dwa palce i przestawić gdzieś, jak solniczkę... Nomen omen: właściciel domu nazywa się Lacher, Śmieszek.

Winnica Freyów. Nasz chlebobdawca twierdzi, że ród Freyów pochodzi wprost od założyciela szwedzkiej dynastii Inglingów – od mitycznego kapitana okrętu „Skidbladnir”, zbudowanego przez trolle, mieszczącego wszystkich bogów Walhalli, a zarazem dającego się poskladać jak namiot i schować do kieszeni.

„Cała nasza kultura wyrasta z zabawy”, mówi Johann Huizinga. „Ustawiczna praca wszystko zwycięża”, napisał w *Georgikach* Wergiliusz. – Hanko kochanko: kluczem do zagadki jest Twoje imię... Człowiek bywa sobą wtedy, kiedy kocha, nie wtedy, gdy bawi się czy pracuje. Miłość jako zabawa jest flirtem, jako praca – prostytutką.

Sobota, 6 października

Odwiedzamy naszych przyjaciół, pracujących w Kallsztadzie. Kallsztadzkie kalcjum odkłada się grubym białym osadem na dnie każdej szklanki wody. Janek P. od razu zachorował na kamienie nerkowe (jak przed rokiem). W drodze po-

wrotnej widzimy w zatoczkach przy winnicach Polaków koczujących w syrenach i fiatach. Dobrzy tutejsi bauerzy przywożą im zupe w kotłach.

Poniedziałek

Pracujemy u Tomasza Reinhardta. W nazwisku Tomasza połączone są widoczne na horyzoncie góry Hardtu i płynący środkiem doliny Ren... Deszcz, wiatr, blask – boskie manewry na niebie. I ludzkie manewry – nisko lata ryczące żelazo: myśliwce naddźwiękowe – nadobrazowe – naddotykalne! Bundeswehra.

Piątek

Obudziłem się przed świtem. Czekałem aż światło zróżnicuje przedmioty. „Rzeczy są różnicami, które spozrzegamy”, powiada Goethe... Wczoraj w drodze powrotnej zatrzymałem się między winnicami i długo patrzyłem na wzgórze, podobne w zachodzącym słońcu do dekoracji teatralnej, z płaskimi planami i z chmurami wiszącymi na nitce. W oddali zaczął bić kościelny dzwon – gong na to przedstawienie...